Nr. 5 (1258). Warszawa, 29 Stycznia (11 lutego) 1905 r. Rok XXV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Od Redakcyi.

Z powodu bezrobocia powszechnego, które wybuchło w Warszawie d. 27 stycznia i objęło także wszystkie drukarnie, przerywając czynności ich do 3 lutego, nie wyszedł numer „Prawdy" z dnia 4 lutego.

POLITYKA

Wybory węgierskie.

—o—

Dwu rzeczy niepodobna było na dwa tygodnie jeszcze przed dniem dla Stefana Tiszy i Franciszka Józefa fatalnym przewidzieć: pierwszej, że wybory d. 26 stycznia obędą się bez rozlewu krwi, a z wielką krzywdą dla tradycyj narodowych; drugiej, że Niepodlegli, trzymający się Franciszka Kossutha, a właściwie jeszcze jego ojca, jakim był w r. 1849, wyjdą z wyborów liczebnie, materyalnie i moralnie, najpotężniejszymi. Wprawdzie zaraz po Nowym Roku przystąpienie posłów z drobnych zespoleń Alberta Apponiego, starego z młodem wciąż sercem Ugrona i Szekerkenyiego, figury dość małej na to, aby o niej obcy wiele wiedzieć nie potrzebowali, podniosło przewidywaną liczbę stronnictwa Kossutowskiego do 120 — z osiemdziesięciu kilku niewątpliwych w lecie 1903 r. za Khuena-Hedervarego; wprawdzie nieszczęsna „Lex Daniel", tj. obostrzony d. 18 listopada r. z. raczej w nagłem zaskoczeniu niż w prawidłowej, dojrzałej uchwale regulamin Izby poselskiej szerzył po naradzie nienawiść i zjednywał Kossuthowi stronników: z tem wszystkiem jednak takiego pogromu, jakiego doznało stronnictwo liberalne nie przewidywali nawet ludzie poważni wśród samych Kossutowców.

Wybory dały im aż 162 mandaty, zdwoiły zatem liczbę tych pewnych, na których w najcięższym nawet ucisku liczyć mógł sztab stronnictwa przed półtora rokiem. W dziejach wyłaniania się woli zbiorowej z mas politycznie uprawnionych do wybierania przedstawicieli narodu jest to wypadek niezapamiętany. Prawda, że złożyły się na tak świetny wynik wszystkie prawie stronnictwa nieprzyjazne rządowi, lub nietrzymające z rządem; prawda, że zmowa ich polityczna odegrała wielką rolę w budowaniu tak wysoko spiętrzonej liczby: zaślepienie wszakże tylko mogłoby twierdzić, że mechaniczna jedynie przyczyna sprowadziła mechaniczny też skutek sztucznej jedynie większości. Nie, czynna tu była i organiczna, rdzenna siła rzetelnej namiętności narodowej, pędzącej w tym samym kierunku, w którym chcą ojczyznę swą pchnąć wyznawcy dogmatu niezawisłości. To, że oni sami namiętność tę rozpalili; że na niej zaszczepili własne swe, jeśli nie przekonania, to hasła; to, że pod namiętnością wzburzoną, niecierpliwie, gwałtownie falującą, więc na niestałość skazaną — nie widzimy głębszego podłoża rozumnej samowiedzy — wszystko to nie zmniejsza ogromu, nie przeistacza istoty odniesionego zwycięztwa: siłą rozpędową dziejów jest namiętność, a wielkim masom, raz siłe tej uległym, hasła same przez się zastępują przekonania. Forum życia publicznego nie jest gabinetem uczonego.

Dzień 26 stycznia powołał do działania nową potęgę: żądzę-ideę zupełnej odrębności politycznej Węgier, z utrzymaniem tylko — na czas pewien, a gdy wszystko dziś pędzi tak szybko, chyba niedługi — unii osobistej z dynastyą habsburską. *Moriamur pro rege nostro, Moria Theresia!* z r. 1741 nie powtórzy się już nigdy, niezrozumiałem już dziś jest, niepojętem dla węgierskiego umysłu, szarpiącem dla węgierskiego serca. Dobrze czy źle, rozumnie czy głupio poczynają sobie Węgrzy, zrywając dualizm z roku 1867 — o tem już zapóźno rozprawiać: jest on już zerwany w myślach, w uczuciach, w żądzach, nawet w przekonaniach często logicznych, rozumowych, przez jedną stronę, a nie przywrócą, nie nawiążą go nanowo największe nawet wysiłki drugiej. Fakt duchowy już się spełnił; fakt materyalny, jego sługa, spełnić się musi, nie dziś, to jutro, a jutro, im później nastanie, tem głębszą też między wolą ludzi żywych a brzmieniem martwej litery ustaw z r. 1867 przepaść wykupie. Nie dla samych tylko Habsburgów i Habsburgii, nie dla samych tylko Węgier i konstytucyjnie spojonej z niemi Przedlitawii, ale dla całej Europy, dla przyszłego układu jej potęg dzień 26 stycznia ma znaczenie wielce doniosłe.

Kto tylko zastanowi się nad programatem Niezawisłych, ten nie będzie mógł odeprzeć od siebie domniemania, że jedynym węzłem rzeczowym, na który dla wzmocnienia osobistego zgodzić się będą gotowi, jest przymierze zaczepno-odporne z drugą połową monarchii austryackiej. Ale i tu jeszcze, i słusznie, węgierski rozum stanu nie staje do ugody bez zastrzeżeń i narzucanych warunków. Lichy, jak się od dziesięciu już lat jawnie okazuje, szmerlingowsko-beustowski zlepek „krajów koronnych" nie wzbudza w Węgrzech zaufania. Jeżeli prawdą jest, że w ostatnich dniach do programatu swego Niezawiśli włączyli i federacyjne ukształtowanie Przedlitawii, Przedlitawia

wdzięczną im być powinna, ale ostateczne ukształtowanie Węgier, losy monarchii habsburskiej, przy niegodziwem ciążeniu Niemców czeskich i morawskich do Berlina, przez takie wysunięcie zasadniczej sprawy organizacyjnej — w mrok niepewności zapaść-by musiały. Jeżeli stronnictwo dziś rządzące Narodem Węgierskim, najszerzej i najgłębiej wrosłe w lud, poprzestanie na Przedlitawii dzisiejszej, to przewrót w stosunkach z drugą połową monarchii obejmie: zupełną odrębność pod względem ceł, zupełną autonomię polityczną, bez żadnych współek delegacyjnych z Przedlitawią, własne, czysto-narodowe i zupełne wojsko—węgierskie, własne konsulaty i opiekę nad handlem z zagranicą, wreszcie własny, czysto-węgierski, rzeczywiście istniejący i czynny dwór królewski w Budzie, z zobowiązaniem króla do stałego tam zamieszkiwania przez pewną część roku.

Skład sejmu po wyborach nie pozwala na przypuszczenie przeszkód zdolnych skutecznie, przez samą wewnętrzną jego dynamikę, zatamować uchwalenie i postawienie takich żądań. Dwa tylko są w sejmie stronnictwa liczbą swą wielkie: Kossutowcy 162 i Liberalni 154 głosy. Pozostałe 64 z dotychczasowych wyborów wyszłe, a wyraźnie określone, rozbijają się na odłam Andrassego od stronictwa liberalnego odpadły, na katolików-ludowców Zichy'ego i drobną, głównie ekonomiczną grupę Banffy'ego. Żadne z tych zrzeszeń nie przystanie do liberalizmu, czując w nim trupa. Raczej z tego stronnictwa każdy dzień walki o Węgry zupełnie narodowe przysparzać będzie wyznawców i bojowników Niezawisłym.

S. K.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nie jeden, ale dwa ubiegły od ostatniego sprawozdania. Przez ten czas w Mandżuryi podjazdowy, wywiadowczy, nękający tylko przeciwnika, ale zarazem i wskazujący mu słabe strony jego czołowego rozciągu, charakter walki, wszczynanej codziennie głównie przez Rosyan, doznał nagłej zmiany. Gen. Grippenberg, niedawno z Wilna przybyły na dowódcę drugiej armii mandżurskiej, po przygotowaniach w d. 24 z. m. nazajutrz natarł na lewe skrzydło japońskie około Sandepu, pomiędzy dolną Sza-ho a Hun-ho, na załamaną silnie ku południu i drugiej z tych rzek linię rozstawienia się Japończyków. Walka, wszczęta ogromnie przeważającemi siłami, najmniej 65000 ludzi, przy nagłem zaskoczeniu przeciwnika, musiała z początku być pomyślną. Przez dwa dni, 25 i 26 z.m., Japończycy ustępowali, ściągając szybko siły ze środka, w którym stoi Nodzu i zbijając się w coraz większą masę na samym zaatakowanym obszarze. Przy wielkich wysiłkach i wielkich też stratach, obronili główną swą pozycyę Sandepu, a przez dwa dni 27 i 28 z. m. usiłowali wyparować Rosyan z zajętego nad samą Hun-ho, bardzo ważnego, brodów w rzece broniącego, stanowiska He-kou-tai. Wieczorem drugiego dnia Ojama wysłał już był do Tokio depeszę prawie rozpaczliwą; bohaterski wszakże wysiłek nad ranem d. 29 b. m. w trzy godziny później wydał cenne stanowisko w moc Japończyków.

Takiego ostatecznego wyniku walki mogą oni sobie z głębi serc powinszować. Klęska, która ich już kleszczami ramiony swemi obejmowała, zmusiłaby ich do odstąpienia od Sza-ho; cel bowiem, jedyny rozumny cel, wystąpienia gen. Grippenberga: okrążenie lewego skrzydła japońskiego, wrazie utrzymania się Rosyan w He-kou-tai byłby osiągniętym przez samo już zajęcie tyłów nieprzyjacielowi, a właśnie do tego prowadziło nieodzyskanie tej pozycyi przez gen. Oku. Chociaż więc obszarem i liczbą walczących pięciodniowa bitwa nie była wielką: zamysł jednej strony, czyn ostateczny drugiej nadają jej wielką strategiczną wagę. Gdyby Rosyanie, mając już na drugim, prawym, brzegu Hun-ho, bardzo ważny Czan-tan, usadowili się jeszcze w He-kou-tai na lewym, utrzymanie się Japończyków w Saudepu i w całym międzyrzeczu do dolnej Sza-ho byłoby niemożliwem, a wtedy i cała linia rozciągu czołowego wszystkich trzech armii japońskich musiałaby, odpowiednio do położenia Rosyan na zachodo-południu, cofnąć się na południe ku Jantajowi i Liao-jangowi, zostawiając już całą Sza-ho zwycięzcom.

Sama wysokość strat: japońskich: 7000, rosyjskich nieurzędownie podanych 10—11, a według depesz japońsko-angielskich—nawet 13000 na jakie 110—120 tys. ogółu walczących z obu stron—dowodzi zaciętości boju, ale zarazem i zrozumienia tego, o co chodziło w tej krwawej walce. Jeżeli prawdą jest, że gen. Grippenberg, czyniąc z pierwszego występu swego na teatrze mandżurskim zarazem już i ostatni, złożył dowództwo w ręce gen. korpusu Miłowa wskutek niezgody z gen. Kuropatkinem, wywołanej niedostatecznem poparciem go w boju przez armię środkową gen. Kaulbarsa (5 korpusów i wojsko dodatkowe)—to trzeba byłoby powiedzieć, że nie żołnierz rosyjski, nie oficer bezpośrednio gen. Grippenbergowi pod rozkazy oddany, ale gen. Kuropatkin nie zrozumiał o co chodzi w tej krwawej walce. Niewątpliwie, dowódca armii drugiej w d. 28 z. m. zażądał od sztabu głównego posiłków. Żaden zwyczaj wojenny nie nakazuje podwładnemu żądań takich szczegółowo usprawiedliwiać, a zwierzchnikowi — *a limine* odrzucać. Każdy czyn w wojnie musi być jak błyskawica szybkim, najmędrszym jest zawsze czyn w porę. Straszne w życiu ludzkiem słowo „zapóźno" najstraszliwszem jest w wojnie. Można niepotrzebne żądanie później ukarać nawet ścięciem głowy; na razie jednak, w chwili gorącej, nie wolno żądania nie spełnić. W świetle tego nieporozumienia, które niezmiernie zaostrzyć się musiało, Japończycy ukazują się nam tak, jak gdyby nie jedno, ale odrazu dwa zwycięstwa odnieśli.

Admirał Rożestwienskij korzysta z przymierza, którego pp. Rouvier i Delcassé d. 27 z. m. bronić musieli przed opozycyą radykalną, i stale już bez terminu osiadł na północy wyspy w Nossi-be. Węglowce mają dla siebie Diego-Suarez. Do Madagaskaru podąża i dodatkowy oddział kontradmirała Botrowskiego (poprzednie doniesienia czyniły zeń „Dobrotworskiego"). Trzecia eskadra baltycka ma wkrótce wyruszyć; w węgiel zaopatrywać ją

Wacław Sieroszewski.

W stolicy kraju „CICHEGO PORANKU."

(Ciąg dalszy).

Długo tej nocy błądziliśmy z rozmownym krajowcem po śpiącym, cichym Seulu. Pokazywał mi rozmaite zapadłe i głuche kąty stolicy, chałupki nędzarzy, budy trędowatych, przytułki złodziei... Już powracając, spostrzegliśmy w małym domku lepszej dzielnicy samotnie migocące światełko. Gdym go spytał, co to jest? pchnął ze śmiechem drzwi i znaleźliśmy się w małej, nizkiej izdebce, pośrodku której siedział stary mężczyzna w czarnym kapeluszu i czarnem ubraniu. Zobaczywszy nas pośpiesznie wdział na nos ogromne okulary... Był to znachor i astrolog zarazem. Ściany izdebki zajmowały do samej góry tajemnicze, czarne pudełka z białymi znakami, a pod sufitem wisiały jakieś suszone gady i olbrzymie jaszczurki... Żywy wizurunek naszego średniowiecza!

Przed powrotem do domu zmusił mię mój przewodnik do obejrzenia ulicy Trzech Światłości, gdzie wgłębi w cieniu wysokiej, krzyworogiej bramy chińskiej, jaśniały w blasku księżyca trzy złote hieroglify... Było tu istotnie pięknie!.. Niby w cichym, głębokim akordzie zestrzeliły się w trzech łagodnych, czarownych promieniach wszystkie szepty, jęki i westchnienia zasypiającego białego miasta. Zdawały się mówić:

„Nie rozpaczaj, gdyż jest ukojenie!"

Szin-mun-giun nic nie rzekł, ale na dobranoc jakoś inaczej, mocniej uścisnął mi rękę. Zanosiło się między nami na początek przyjaźni.

Nazajutrz późno wieczorem puściliśmy się w naszą wędrówkę do „ki-sań" pod przewodnictwem „dobrze obeznanego" z niemi młodego krajowca.

— Jakie pan życzy sobie widzieć? Czy tylko najlepsze?

— Ależ nie! Chciałbym poznać najrozmaitsze!..

— Owszem. Lecz niech pan pamięta, że żadna z nich nie umie po europejsku. Te najlepsze, tancerki dworskie znają Europejczyków; widywały ich na zabawach w pałacu i w teatrze; są jednak i takie, co nigdy Europejczyków nie widziały.

Pierwsza „ki-sań" mieszkała niedaleko pałacu. Przebyliśmy kilka pustych podwórek, minęliśmy jakieś zwaliska, jakieś napół roztargane murki i lepianki i stanęliśmy przed małemi, zawartemi drzwiami. Przewodnik nasz mocno i długo kołatał. W lepiance, po niejakiem czasie zabrzmiały ostrożne szmery, błysło w szczelinach światło, lecz natychmiast zgasło. Ktoś stanął za drzwiami i oglądał nas najpierw przez szparę. Drzwi otworzył dopiero po krótkiej rozmowie z naszym przewodnikiem. Znowu przebyliśmy kilka tajemniczych podwórek, okolonych wysokimi murami; pomimo, że księżyc już wszedł, było tu ciemno, choć oko wykol. Szin-mun-giun mówił głośno, z tęgim Korejczykiem, który nas tu wpuścił, coś mu rozkazywał i przekonywał go, wreszcie ten ustąpił i weszliśmy po małych schodkach do osobnej przybudówki, przylepionej do boku dużego domu mieszkalnego. W maluchnym, jak cela więzienna pokoiku znaleźliśmy dziewczynę i chłopca. Była to „ki-sań" gospodarza ubogiego albo skąpego. Gołych, szarych ścian jej mieszkania nie upiększały ani rysunki, ani ozdoby; gliniana podłogę zaścielała, prosta, cienka mata; nie dostrzegłem innych mebli, oprócz nizkiego, drewnianego wezgłowia. Sama mieszkanka siedziała w głębi na ziemi, oparta o ścianę, była drobna, wątła, wydała mi się dzieckiem prawie; widocznie bała się nas i wstydziła; nie odpowiadała na pytania, odwróciwszy twarz w bok i zakrywszy ją łokciem zarzuconej na głowę ręki. Jej gość równie zdawał się być zmieszany, ostrożnie zabrał swą fajeczkę z kapciuchem i wyniósł się niepostrzeżenie. Nie pomogły ani zachęcające namowy Szin-mun-giuna, ani żarty doświadczonego przewodnika, Me-ha, jak on nam ją nazwał, milczała. Dopiero gdyśmy jej podsunęli przyniesione podarunki, — trochę cukierków i flakonik perfum, uchyliła cokolwiek

będą Niemcy hamburscy i Amerykanie. Jeżeli istotnie przewidywania i zapowiedzi się sprawdzą, to wody Madagaskaru będą za jakie dwa miesiące widownią złączenia się wszystkich czterech oddziałów floty w całość, jakiej dotychczas Ocean Indyjski nie oglądał. Podobno postój u Madagaskaru nie jest dobrowolnym: umówionym był potajemnie do czasu orzeczenia komisyi hullskiej. Komisya ta skończyła już badanie świadków obu stron: rosyjskich było tylko trzech, najwymowniejszy i najgłośniejszy kapitan Klado. D. 6 b. m. komisarze odbyli naradę w zamkniętem kole. Orzeczenia spodziewają się gazety w przyszłym tygodniu. Sprężyny gabinetowe są teraz w ciągłym ruchu. Można z góry powiedzieć, że adm. Fournier bronić będzie tezy torpedowców, rzeczywiście widzianych na M. Północnem, a admirał Davis przeciwnej; „zahacza się" sprawa na Spahnie. Niezawodnie też dyplomacya promieniuje już na Wiedeń.

Deklaracya gabinetu Rouviera w d. 27 z. m. złożona w obu Izbach objawia gotowość do postępowania śladem poprzedników, z wyjątkiem tylko jednych denuncyacyi, o które się poprzednicy rozbili: Pegné już otrzymał dymisyę, a na przyszłość rząd korzystać będzie tylko z „organów legalnych i prawidłowych". Na liście prac i ulepszeń znajduje się prawo o służbie dwuletniej w wojsku, uchwalane już przez senat, dwa budżety, bieżący i przyszły, zniesienie prawa Falloux z r. 1850 o swobodzie nauczania, zaopatrzenie starości i niemocy robotników, podatek od dochodu, oddzielenie kościoła od państwa, utworzenie kasy emerytalnej dla starców,—co wszystko już wchodziło w zakres zamysłów poprzedniego gabinetu. Deklaracyę w Izbie uznało za dobrą 410 głosów przeciwko 107, przeważnie nitraradykalnym.

Przy ostatecznem rozdzielaniu tek w nowym gabinecie Bienvenu-Martin objął oświatę, a poprzednik jego Chaumié—sprawiedliwość; handel i przemysł dostał się Dubiefowi, kolonie—Clementelowi: pozostałe—jak wskazano.

Wybory d. 26 z. m. na Węgrzech zupełnie odwróciły kartę dziejów. Dzięki porozumieniu się nawet z socyalistami nieprzejednani Kossutowcy pobili na głowę liberalnych i ze 100 conajmniej wzrośli odrazu do 162 głosów w sejmie. Franc. Józef aby uniknąć Kossutha, wezwał Jul. Andrassego; ale do wieczora d. 6 b. m. konieczność odpychana nie pozbyła się swej natarczywości, zresztą całkiem konstytucyjnej. Wola wyborców powinna być wolą panującego, a wyborcy chcą Kossutha, z Kossuthem zaś zerwania dualizmu i powrotu do unii osobistej z przed roku 1848, z dodatkiem: wojska narodowego i własnych konsulatów.

D. 25 stycznia Niemcy podpisały nareszcie traktat handlowy z Austryą, która wypowiedziała już traktat z Rosyą.

ŻYCIE SPOŁECZNE

Mikołaj Martyanow.

SYBERYA...

„Pocóż, przeklęta kraino,
Ongi odnalazł cię Jermak?" [1])

W tym dwuwierszu wyraził się stosunek „dékabrystów" do krainy wygnania. Mniej więcej w ten sam sposób traktuje Syberyę każdy Polak, każdy Rosyanin, o ile połysk złota bardziej różowo nie zabarwi tego ponurego poglądu... „Przeklęta kraina" — mówili pierwsi, „Sybir—złote dno" mówią drudzy. Tamci, dotknięci nostalgią, marzyli o porzuceniu kraju mrozów i białych niedźwiedzi; ci, opanowani bardziej zaraźliwą chorobą chciwości, ciągnęli do tego kraju, jako demoni kapitalizmu. Jedni, tęskniąc do ojczyzny i nienawidząc kraju wygnania, byli dlań jednakże pionierami cywilizacyi i kultury, siewcami ziarna oświaty, apostołami prawdy i miłości; ci, z hasłem: „tam, nasza ojczyzna, gdzie nam dobrze" szli uzbrojeni wszelkimi dobytkami cywilizacyi i kultury, aby przez nią zapanować nad dziką krainą.

Ani jedni, ani drudzy jednak do ziemi, w której zamieszkali, nie byli prawdziwie przywiązani i porzucali ją przy pierwszej sposobności; pierwsi, gdy otrzymywali prawną ku temu możność, drudzy, gdy już dostatecznie napchali swe kieszenie...

Ludzi, coby istotnie kraj ten kochali było niestety bardzo niewielu; kraj ze wszech miar ciekawy, gościnny, który każdego uczciwego przybysza z całego serca podejmował, a był przeznaczony na czasowy pobyt najpożyteczniejszych dlań jednostek. Wśród tych niewielu, którzy na stałe w Syberyi osiedli, znajdował się Mikołaj Martyanow.

Co tego człowieka urodzonego na uroczej Litwie do takiego stopnia mogło olśnić w mroźnej Syberyi, że dobrowolnie porzucił kraj rodzinny i w obcym gościny szukał? Bardzo wiele przyczyn złożyło się na to. Martyanow był jednym z najgorliwszych zwolenników idei muzeów kantonalnych, propagowanych na początku siódmego dziesiątka ubiegłego stulecia przez E. Grault we Francyi i W. Kochowskiego w Rosyi. Jako człowiek czynu, pragnący możliwie najprędzej wcielić ideę w życie, M. zaczął przedewszystkiem rozglądać się, gdzie jego praca najowocniejszą być mogła. Takim krajem właśnie wydała mu się bezbrzeżna Syberya, z jednej strony pokryta tundrą, z drugiej kwieciem alpejskiem, kraj tajemniczy, ukrywający w swem łonie i zwierzęta przedpotowe i człowieka z epoki bronzu i kamienia, kraj zaludniony przez plemiona jak najbardziej różnorodne, a jednak obok siebie mieszkające... Syberya...

Ależ marzyć o urządzeniu muzeum w Syberyi było dziecińtwem, jak dziecińtwem byłoby mówić o założeniu muzeum w Europie, Australii lub Afryce... W granicach Syberyi trzeba było odnaleźć miejsce bliżej określone, któreby na mniejszej przestrzeniześrodkowywało wszystkie dane. Z zawodu botanik, Martyanow przedewszystkiem zwrócił uwagę swą w stronę urodzajnej doliny rzeki Amur... Ale podróż z Kazania, gdzie on wtedy mieszkał, na brzegi oceanu Wielkiego tyle wówczas kosztowała, że niełatwo ją było uskutecznić... Zanim środki znalazł otrzymał od lekarza Malinina zaproszenie, aby objął zarząd należącej do niego apteki w Minusinsku. Zanim Martyanow dał przychylną odpowiedź, przysiedział on fałdów i przeczytał wszystko, co znalazł w bibliotece uniwersytetu kazańskiego o interesującym go kraju Zasajańskim. Olbrzymie wrażenie sprawi-

[1]) Niekrasow.

---

twarzy i dziecinnym ruchem schwyciła łapczywie goścince. Była wcale ładna, ale nie miała więcej nad dwanaście lat.

Następna „ki-sań" „Pi-czu" mieszkała w większym domku; dostaliśmy się do niej po przejściu równie wielkich ilości podwórz i podwóreczek, po równie tajemniczych układach z gospodarzem, który właśnie był u niej w odwiedzinach. Była to dziewczyna lat dwudziestu, wysmukła, świeża, dobrze ułożona, która odpowiadała na nasze pytania z prostotą i skromnością panny z lepszego towarzystwa. Pokoik miała maluchny, ale wysłany pięknemi, wzorzystemi matami, upiększony rysunkami i kwiatami. Na nizkiej toaletce stało ładne lusterko, napół zasłonięte jedwabnemi firankami, stały japońskie drobiazgi artystyczne, leżała książka i przybory do pisania. Poproszona zaśpiewała nam parę piosenek czystym, piersiowym głosem. Okazało się, że nie była kształconą specyalnie na tancerkę, ale kolei swego losu nie chciała nam opowiadać. Skusiła mię ciekawość zobaczenia, jak też wygląda jej pan, więc udając, że zbłądziłem, wszedłem, przez pół otwarte drzwi do sąsiedniego domu, gdzie się jeszcze świeciło. Zastałem siedzącego na ziemi brzydkiego, dziobatego, niemłodego już Korejczyka a w głębi jakiś cień kobiecy. Meble i sprzęty izby zdradzały zamożność.

Inne, z odwiedzanych „ki-sań" zbliżały się albo do typu pierwszej-ubogiej, albo do drugiej bogatej. U jednej wesołej, grubej dziewczyny zastaliśmy całe towarzystwo młodych krajowców. Śpiewała ona najładniej i najdowcipniej odpowiadała na nasze pytania.

— Czego szukasz, cudzoziemcze, w naszych ubogich mieszkaniach?

— Chcę zobaczyć, jak żyją korejskie „ki-sań", aby opowiedzieć o tem naszym tancerkom i śpiewaczkom.

Zamyśliła się chwilkę.

— To i u was są takie, jak my?

— Wszędzie są ludzie lubiący muzykę i taniec... Uśmiechnęła się przebiegle, trochę smutno i odwróciła odemnie oczy.

Zebrani Korejczycy nie omieszkali uczynić kilku wesołych uwag, których Szin-muń-giun nie chciał mi jednak przetłomaczyć.

Nazajutrz odbyło się u Szin-muń-giuna obiecane widowisko. Ale nie tańczyła żadna z odwiedzanych przez nas wczoraj tancerek, gdyż nie wszystkie w równym stopniu były zręczne i nie wszystkie należały do tego samego towarzystwa.

— „Ki-sanie" nie chcą tańczyć z nieznanemi sobie osobami. Musiałem zaprosić wskazane przez nie towarzyszki z jednego kółka, — tłomaczył się gospodarz.

Rozesłano maty na podwórku, muzyka, składająca się z bębna, fletu, skrzypiec, kobzy, tamtamu i arfy usiadła z boku rzędem. „Ki-sanie" ubrały się w długie powłóczyste, kolorowe szaty, przywiązały na głowach małe korony ze sztucznych kwiatów, ze złotego szychu i jedwabiem obleczonego kartonu. Do kiści rąk przywiązały pięknie haftowane, długie chusty, zszyte jak narękawki. Dwie tancerki stanęły nieruchomie w głębi, dwie rozpoczęły taniec, nadzwyczaj powolny, rytmiczny, pełen ruchów mimicznych i gestów symbolicznych. Był to uroczysty taniec „Ip-cun". Po nim nastąpił nie mniej uroczysty „Han-dzan-mu"; potem słynny taniec starożytnej Silli z nożami „Kä-mu", wreszcie wesoły, hoży „syng-mu", podobny do ruskiego trepaka. Tańce korejskie na ogół są bardzo podobne do japońskich lecz nie posiadają i w połowie nawet tego wykończenia oraz rozmaitości szczegółów, co te ostatnie. Za to śpiew korejski jest bezwarunkowo najprzyjemniejszy dla ucha europejskiego ze wszystkich śpiewów Dalekiego Wschodu. Wrzaskliwa muzyka zaś przypomina chińską.

Po tańcach nastąpiła uczta, składająca się z mocno pieprznych marynat korejskich, rzodkwi, rzepy i ryżu, suto polewanych „suli". W rezultacie podochocony gospodarz kazał jeszcze raz zagrać muzyce wesołego „syng-mu" i puścił się z tancerkami w tan, rozwiewając szeroko rękawy, poły odzieży i zgrabnie przebierając nogami. Pokrzykiwał sobie od czasu do czasu a obecni rozbawieni przyklaskiwali i przytupywali mu zgodnie. Nawet za kratkowanemi drzwiami, gdzie z za zasłony przyglądała się zabawie jego żona, dolatywał stłumiony śmiech i wesołe uwagi. Tancerki ruszały się niezwykle żwawo i wykonywały nawet chwilami dość trudny piruet, polegający na szybkiem obróceniu się dokoła samej siebie przy pochyleniu pod kątem 45° i wyciągnięciu nóg.

Wszyscy byli zachwyceni. Kosztowało

ły przeczytane dzieła. Niewiele jest miejscowości nietylko w Syberyi, ale i w całej Rosyi, które jak kraj Minusiński na względnie niewielkiej przestrzeni (wraz z krajem Usińskim 2186 mil kwadratowych) zawierałyby tyle skarbów dla nauki. Mogą być — bez wątpienia — okolice górujące nad nim pod względem fauny lub flory, antropologii lub etnografii, archeologii lub geologii, itd., ale stanowczo bardzo niewiele jest właśnie takich, gdzieby te wszystkie skarby znajdowały się w połączeniu.

Martyanow uradowany propozycyę przyjął i, uzbroiwszy się w książki oraz potrzebne dla muzeum sprzęty natychmiast w podróż się udał. Dowiedziawszy się już w Syberyi, że w Barnaule pod zarządem doktora Dumberga znajduje się jedyne na całą Syberyę muzeum, Martyanow zboczył z drogi do Barnaułu, warunki muzeum zbadał i dopiero potem do Minusinska pojechał.

Nietrudno się domyślić jakie tam musiał sprawić wrażenie człowiek, który wódki nie pił, w karty nie grał, od rana do wieczora pracował i za rozrywkę po pracy w aptece uważał zbieranie okazów botanicznych, mineralogicznych etc. obficie po kraju porozrzucanych. O tym dziwaku mówił cały Minusinsk; jedni z uwielbieniem, drudzy ironicznie nazwali go „Mikłuchą“ na cześć zmarłego podróżnika Mikłuchy-Makłaja. Tych pierwszych, niestety, znalazło się bardzo niewielu, ale za to byli to ludzie dzielnego serca i umysłu; z nich to właśnie wytworzył Martyanow pierwsze jądro przyszłego komitetu muzeum. Kierując się światłemi wskazówkami młodego naturalisty, grono tych ludzi, w których poczet weszły takie dzielne jednostki jak ks. Krapotkin, lekarz Malinin, nauczyciele Sajłotow i Tretiakow zabrało się żwawo do roboty i wraz z tem, co dał sam Martyanow i co stanowi lwią część wszystkich zbiorów zgromadzili przeszło tysiąc egzemplarzy różnych roślin, skamieniałości i owadów. W ciągu następnego roku liczba egzemplarzy podniosła się do 2500.

— „Gdzież pan te wszystkie zbiory chowa“ pytał Martyanowa dyrektor muzeum Barnaulskiego. „Czyż mieszkanie pańskie jest małym pałacykiem?“

Nie! Pokój w którym mieszkał wówczas Martyanow wcale pałacu nie przypominał, choć był cały kolekcyami zastawiony, jednak w żaden sposób wszystkich skarbów zebranych przez „naturalnych naturalistów“, (jak Martyanow nazywał siebie i swoje koło kolektorów) zmieścić nie mógł. Większej części tych skarbów w owej chwili zupełnie w Minusinsku nie było. Martyanow odesłał je do różnych muzeów, różnym uczonym do określenia, pomiędzy innymi znanemu mykologowi [1]) baronowi von Thumen w Wiedniu. W 1876 r. Martyanow robi nowy krok naprzód: część zebranego materyału ofiarowuje miejscowej szkole: „Z dawien dawna pragnąłem, objaśniał on, utworzyć w jednym z zakątków prowincyonalnych, oddalonych od miast stołecznych, muzeum historyi naturalnej, chociażby z miejscowych okazów natury, ale pod tym warunkiem, żeby muzeum takie zawsze stało otworem dla każdego“. Dar ten był, że tak powiem, popularyzacyą idei muzeum.

„Jak dalece społeczeństwo Minusińskie współczuło idei założenia muzeum“—mówi sam fundator—„można wnosić z tego, że codziennie otrzymywałem kolekcye nietylko przyrodnicze, ale i archeologiczne“. Dary owe były tak wielkie, że 22 stycznia 1877 roku Martyanow ofiarował wszystkie miastu, pod warunkiem, że muzeum pozostanie nazawsze własnością miasta, że wszystkie szkoły minusińskie będą korzystały ze zbiorów, jako przyrządów szkolnych, a wreszcie że muzeum będzie otwartem dla wszystkich chcących je zwiedzić oraz dla miłośników wiedzy przyrodniczej.

Miasto dar przyjęło i muzeum, zawierające 1362 okazów, zostało otwarte. Okazy te stanowiły trzy działy: przyrodniczy, antropologiczny i przemysłowy. Ale jakie działy! Dział przyrodniczy zawierał 1272 okazów, pozostałe dwa zaledwo 90. Muzeum nie miało środków pieniężnych, całe jego bogactwo stanowiło trochę mebli, podarowanych przez kilku ludzi. Zajmowało ono pokój 7 arsz. długi i 4½ szeroki.

Brak miejsca nie pozwala mi tak szczegółowo, jakbym tego pragnął, przedstawić dziejów dalszego rozwoju muzeum, powiem więc tylko, że po latach dziesięciu było już ono powszechnie znanem i względnie dużem. Składało się wówczas z sześciu działów: jeden z nich, tak zwany „Gabinet przyrządów szkolnych“, którego cele były przedewszystkiem wychowawcze zawierał aż 7600 przedmiotów. Nie był to dział największy: w przyrodniczym znajdowało się 8003 egzemplarze. Z innych działów, w antropologicznym znajdowało się 593, w archeologicznym 5611, gospodarstwa rolnego 1023, przemysłowym — 2029, co w sumie stanowiło 23,829 przedmiotów.

— „Któż dał na to środki? — zapytuje Martyanow w przemowie w dzień założenia fundamentu pod gmach muzeum. — „Kto doprowadził ilość kolekcyi muzealnych do takiej wielkości?

— Tyś to wszystko zrobił!“—mógłby rzec na to z jak najzupełniejszą słusznością każdy ze słuchaczy.

— „Jest to dzieło samego społeczeństwa!“—odpowiedział Martyanow.

Obie odpowiedzi są uzasadnione i wcale sobie nie przeczą, Martyanow był inicyatorem, twórcą, kierownikiem; społeczeństwo wykonawcą chętnym i wrażliwym. Martyanow ujrzał śród zgliszcza iskierkę żądzy wiedzy i nie skąpił sił by ją rozdmuchać w płomień; społeczeństwo z prawdziwą wdzięcznością i przywiązaniem traktowało twórcę instytucyi. I stał się rzeczywiście cud. Co było nie do wykonania w środowiskach cywilizacyi i kultury, to zakwitło w głuchej miejscowości u podnóża dzikich skalistych Sajanów...

Dzięki temuż samemu Martyanowowi znaleźli się na miejscu ludzie, którzy wzięli się do naukowego opracowania zebranych w muzeum skarbów. Gdyby ci na miejscu powstali uczeni w jego osobie nie znaleźli rady i poparcia możeby się nigdy nie odważyli wziąć do tak poważnej pracy, możeby dalsze ich życie i karyera naukowa zupełnie innemi były. Twórczy i organizacyjny umysł Martyanowa pod tym względem olbrzymią odegrał rolę. A był to organizator nie lada, bo do roboty zaprządz potrafił i włościanina i tuziemca, mieszczanina i kupca, duchownych, nauczyciela i ucznia, urzędnika i wygnańca politycznego, kapitalistę i nędzarza, przemysłowca i robotnika. Wszystko co żyło, szło na wezwanie Martyanowa i pracowało na rzecz ogółu. „Bądź pożytecznym każdemu a każdy

[1]) Botanik, specyalnie studyujący dział grzybów.

---

mię widowisko z górą 50 jenów *). Musiałem prócz tego dać tancerkom po dwa jeny naddatku, gdyż określona niby to taksą zapłata — 4 jeny dla każdej „ki-sań“, szła do kieszeni ich właścicieli. Musiałem dać po jenie dwóm jakimś jegomościom, którzy nietylko zjedli z nami obiad i wypili sporo „suli“, lecz natarczywie domagali się datku, jako „przyjaciele i nauczyciele“ najętych „ki-sań“... Żądano osobno za ubrania, wypożyczone rzekomo „z teatru“, osobno za „taniec z nożami“. Słowem rachunek miał rdzennie korejskie cechy i wypadł o wiele słoniej, niż podobne widowisko w Japonii.

Tam „gejsze“, przedstawiające dużo szlachetniejszy typ tancerek, których zawód nie jest związany z obowiązkowym nierządem, łączą się w stowarzyszenia, posiadające ścisły regulamin i stałe taksy, zabezpieczające obie strony od wyzysku. W Japonii można wezwać „gejsze“ do prywatnego domu lub herbaciarni tylko za pośrednictwem biura ich stowarzyszeń. W Korei nic podobnego nie istnieje. Mam jednak powody przypuszczać, że instytucya „gejsz“ oraz ich tańce w bliskim pozostają pokrewieństwie z produkcyami korejskich „kisań“ i pochodzą z tego samego źródła, prawdopodobnie z Indyi z domieszką pierwiastków miejscowych. W Chinach niema tancerek, są jedynie śpiewaczki publiczne; Chińczycy nie uprawiają tańca jako zabawy towarzyskiej; przeciwnie w Japonii zachowały się tańce religijne i tańce dworskie, uroczyste, wykonywane przez dostojników i przedstawiające przegląd państwa dopełniany przez mikada *). Ainowie, tubylcy wysp japońskich oraz sybirskie plemiona tunguskie, pokrewne Korejczykom, namiętnie lubią taniec.

Korea jest krainą, gdzie częściej może, niż gdzieindziej, zdarzenia wesołe ocierają się bezpośrednio o zjawiska smutne lub okropne. Doba nie minęła od wyprawionego przez Szin-muń-giuna balu, a byłem świadkiem wcale innych tańców. Około południa plac przed bramą pałacową zaroił się od tłumów ludzi. Oddział żołnierzy uszykował się na ulicy przyległej i postawił broń w kozły. Wszyscy zwracali głowy w stronę Dzon-no, gdzie zaznaczył się pewien ruch i skąd wciąż płynęła ciżba. Wreszcie usłyszałem przenikliwe dźwięki piszczałek i echa rosnącego pogwaru. Wkrótce nad głowami tłumów powiały daleko barwne, wielkie chorągwie i płynęły ku nam. Ciekawi rozstępowali się tworząc szpaler, którego środkiem postępowała gromada, niosąca znak, poprzedzana przez muzykę. Na przedzie w podskokach szło kilku tęgich „pu-saniów“ (kramarzy) z krótkiemi maczugami w ręku i do taktu dzikiej muzyki tańczyło dziki taniec.

Po za nimi sunął zbity tłum ich towarzyszów w białych szatach, w żółtych cylindrach bambusowych, z zatkniętymi za brzegi kawałkami bawełny. Wielkie chorągwie z kolorowego jedwabiu, ze złotymi lub czerwonymi napisami chwiały się nad ich głowami. Bliżsi tańczących wydawali od czasu do czasu przenikliwe okrzyki, podobne do orlich krakań. Muzyka składała się z fletów i wielkich kobz ze skórzanymi miechami. „Topu-saniowie“ przyszli wyrazić cesarzowi swą wiernopoddańczą radość z powodu powrotu do zdrowia jednego z jego małych wnuków!..

Seulczycy, wielcy miłośnicy wszelkich widowisk, przyglądali im się z jawną ironią; wielu z obecnych pewno pamiętało dobrze niedawne w stolicy wybryki wędrownych przekupniów, ich gwałty i nadużycia.

— Upiją się „makale“ *) i skaczą bez wstydu!... Cesarza tylko niepokoją!... Pewnie myślą, że ich puści do środka pałacu!... mruknął niechętnie Szin-muń-giun.

Z godzinę pewnie wykrzykiwali i wyskakiwali pu-sanie na pałacowym tarasie przed zamkniętą bramą.

(C. d. n.)

*) Tancerki—16 jenów; muzykantom po 2 jeny = 12, obiad dla wszystkich — 15 jenów, lektykarzom, którzy przynieśli tancerki—4 jeny...

*) Widziałem taki taniec w Hakodate na dorocznym obiedzie sadowników.

*) Wódka, przyprawiająca o szaleństwo; piją ją tubylcy przed bitwą, przed zaburzeniami publicznemi aby, jak mi powiadali, „stracić pamięć i wstyd“.

będzie pożytecznym muzeum„—oto dewiza Martyanowa, która go w ciągu 30 lat ani razu nie zawiodła...

Na początku 1902 roku muzeum obchodziło 25-letni jubileusz. W owym czasie ilość zgromadzonych przedmiotów wynosiła już 56483. Jeżeli dodamy do tego głęboko obmyślony system w ekspozycyi przedmiotów, metodę w ich rozlokowaniu, olbrzymią rozmaitość działów i grup, to nie będziemy się dziwili, że w całym świecie ucywilizowanym jubileusz ten znalazł oddźwięk i że twórca muzeum był przedmiotem olbrzymich i zasłużonych owacyj...

Dziś ten tyle zasłużony wobec nauki i społeczeństwa człowiek już nie żyje.

Umarł, jak żył: przepracowany, przy pracy... Przez długie miesiące, borykał się ze śmiercią, nie przestając pracować, nie rozstając się z ulubioną swą dzieciną — herbaryum doliny południowego Jeniseja...

12-go grudnia 1904 r. śmierć go zmogła i nazawsze osierociła stworzone przezeń instytucye...

Śpij, mistrzu i druhu! Niech Ci ukochana przez Ciebie ziemia syberyjska lekką będzie!

Feliks Cohn.

Kapitalizm i ludzkość.

Kapitalizm w krajach europejskich, gdzie się narodził, posuwał się naprzód, jako ślepa potęga, depcząca w swym pochodzie dzieci, kobiety, drobnych rzemieślników, wieśniaków, życie rodzinne, zdrowie i spokój milionów. Wywołał wskutek tego reakcyę świadomości społecznej, której rezultatem jest, że go tutaj, na rodzinnym gruncie, zaczęto trochę pętać i ujmować w karby. Więzy te są jeszcze bardzo słabe i owa ślepa potęga często je zrywa, a przynajmniej rozciąga z największą łatwością. W każdym razie jest to początek, który pozwalą się spodziewać w przyszłości zapanowania społeczeństwa nad siłami wytwórczemi, dzisiaj niem wstrząsającemi. Są jednak inne kraje, w których kapitalizm rządzi się dzisiaj jeszcze ze swobodą zupełnie nieograniczoną, w których jest całkiem rozpętany, rozpasany i dla ludności tembardziej niezrozumiały, że obcy i nienawistny, przybywa nagle z zewnątrz, jak orkan lub zaraza, że między ich stanem społecznym a nim leży jeszcze cała nieprzebyta przepaść dziejowa.

Te kraje są to kolonie państw europejski w Azyi, Afryce i Australii; te nieszczęśliwe ludy to owe rasy nie białe, przez białych antropologów i socyologów uznane za niższe.

Francuskie towarzystwo prawnej ochrony robotników, postanowiwszy między innemi zająć się sprawą wyzysku tubylców w koloniach i sposobów jego ograniczenia, urządziło w tym celu obszerną dyskusyę, w której wzięli także udział członkowie francuskiego komitetu opieki nad tubylcami kolonij ze znakomitym uczonym Viollet'em na czele oraz różni politycy kolonialni. Gdyby się chciało przedstawić choćby w najogólniejszych zarysach wyzysk i ucisk tuziemców, wołający o pomstę do nieba, przeczący elementarnym zasadom ludzkości, to możnaby pisać długie studya, oparte na sprawozdaniach komitetu ochrony tuziemców i na innych źródła jeszcze bardziej urzędowych. Ale już to, co przytoczono w wymienionej dyskusyi, wystarcza najzupełniej, żeby wyrobić sobie pojęcie o nieludzkości kapitalizmu w koloniach. Przytem należy zaznaczyć z góry i z naciskiem, że chociaż fakty tu wymienione dotyczą tylko kolonij francuskich to samo dzieje się przecież we wszystkich; można zgodzić się z referentem prawnym, że we Francyi w każdym razie nadużycia te wywołują najwięcej oburzenia i stosunkowo najmniej są ukrywane. „Jawańczykowi dzieje się krzywda,“ wołał przed wielu już laty Multatuli. Dzieje się ona także Annamicie, Malgaszowi, Konakowi, Herrerom i innym murzynom, dzieje się wszystkim ludom, które mają szczęście być cywilizowanymi przez kapitalistów europejskich. Wszystkie państwa zniosły handel niewolnikami — ale w koloniach wszystkich państw niewolnictwo powróciło w mało co zmienionej formie. Wiele państw w akcie berlińskim zobowiązało się dosłownie „strzedz istnienia ludności tybulczej w koloniach i starać się o polepszenie moralnych i materyalnych warunków ich bytu;“ ale doprawdy z tego zobowiązania „musiał się dyabeł tęgo uśmiać,“ — jeśli nie sami ci, co je podpisywali.

Ze zgodnego przedstawienia tych, co są za ograniczeniem prawnem nadużyć kapitalizmu w koloniach i co są przeciw temu, wynika obraz następujący: Gdy na jakiś kraj żółty lub czarny spada szczęście kolonizacyi europejskiej, to mieszkańcy jego są zasadniczo traktowani nie jako ludzie, lecz jako zwierzęta, obowiązane wykonywać szereg prac dla przybyszów. Trzeba przeprowadzić drogę żelazną w kraju mało zaludnionym albo poprostu trzeba przenieść ciężary, pakunki, na wielką odległość więc nakazuje się tubylcom pracę przymusową, pędzi się ich o dziesiątki kilometrów i każe wojsku pilnować w obozowiskach, z których biedacy chcą uciekać. Wynikają z tego bunty, tłumione krwawo z całą bezwzględnością, wynika olbrzymia śmiertelność: na Madagaskarze, naprzykład, przenoszono a raczej przepędzano całe wsi na odległość 250 kilometrów: po trzech miesiącach 70% nieszczęśliwych wymierało. Ale nikt na podobne rzeczy nie zważa, trzeba przedewszystkiem zaspokoić pierwsze potrzeby rządów kolonialnych.

Kiedy rządy te są jako tako ustalone, wtedy nie kończy się męka tuziemców, tylko z nagłej zamienia się na stałą, niemniej ciężką. Wtedy każdy kolonista europejski uważa, że ma prawo przyrodzone do pracy krajowców, bez względu na ich wolę i siły, a rząd europejski nie waha się wszelkimi środkami zmuszać ich do tej pracy. Tak np. zaraz po zdobyciu Madagaskaru przez Francuzów generał Gallieni wydał w roku 1896 dekret, na mocy którego każdy Malgasz, nienależący do klasy bogatej, obowiązany jest wynająć się komuś do pracy! Oprócz tego istnieje cały system robót przymusowych dla potrzeb rządu i wojska. Na wyspach Komorskich kompania kolonizacyjna zawiera z sułtanami kontrakty, na mocy których ci dostarczają jej robotników na lat 10. Na lat 10 człowiek jest zaprzedany kapitalistom bez najmniejszej możności wycofania się z tego położenia. Podobnie w Nowej Kaledonii sam zarząd kolonii, w celu dostarczenia robotników kolonistom europejskim, zawiera z przywódcami plemion kanackich umowy, prowadzące do prawdziwego niewolnictwa dziedzicznego. Kanacy otrzymują kawałki gruntu, które mogą im być w dodatku w każdej chwili odebrane, a za to zobowiązują się do odrabiania pewnej ilości dni lub miesięcy nietylko w swojem imieniu, ale w imieniu swych przyszłych potomków, którzy oprócz tego od 10 roku życia muszą iść w służbę prywatną do domu kolonisty. Sprawdza się twierdzenie znakomitego ekonomisty Achillesa Lorii że w koloniach z chwilą wtargnięcia Europejczyków powtarzają się te same formy gospodarcze, które oni już u siebie dawno przebyli: niewolnictwo, pańszczyzna, dopiero później najemnictwo. Nawet w Indo-Chinach, gdzie cywilizacya miejscowa jest stara i dość wysoka, przedsiębiorcy prywatni zawierają kontrakty zbiorowe i długo-terminowe z naczelnikami gmin, a pojedynczy mieszkaniec wcale nie jest pytany o zgodę i nie wie nawet, jakie za niego zaciągnięto zobowiązania.

Na usprawiedliwienie wszystkich tych nadużyć mają politycy kolonialni jeden tylko wieczny argument: że krajowcy nie chcą pracować i wolą nie korzystać z dobrodziejstw cywilizacyi. Gdyby nawet rzeczywiście tak było, to możnaby tylko radzić Europejczykom, aby skoro idą do kolonij, wykonywali tam sami potrzebną dla siebie pracę. Ale już Karol Bücher w swej znakomitej książce „praca i rytm“ rozprawił się z tą gadaniną o nieuleczalnej niechęci dzikich do pracy. Dziki nie pracy nie znosi, lecz istotnie znieść nie może pracy jednostajnej, długiej, nużącej, któraby dla niego samego nie była z jakichkolwiek względów przyjemnością. On pracuje stosunkowo bardzo dużo i ciężko, ale wie, dlaczego pracę swą dość często zmienia, urozmaica i umieszcza w niej zawsze jakiś pierwiastek estetyczny, np. rytm i śpiew w pracy zbiorowej. Jeden ze znawców stosunków kolonialnych, wybitny lekarz i przyrodnik Vibert potwierdza też w paryskiej dyskusyi, o której tu mówimy, że fałszem jest, jakoby murzyni w Kongo nie chcieli pracować, ale prawdą jest, że nienawidzą wszystkiego, co choćby zdaleka przypomina niewolnictwo. Jeśli się postępuje z dobrocią, jeśli się ich należycie i sprawiedliwie wynagradza, to pracują doskonale. To samo zaświadcza pułkownik Thys, właściwy twórca państwa Kongo, a specyalista od spraw konialnych w parlamencie francuskim Chailley Bert pisze, że krajowców można zaprawić do wszelkiej pracy i organizacyi, tylko trzeba do tego szeregu lat cierpliwego wychowania. Ale gdzież mogą myśleć o takiem wychowaniu sępy kapitalistyczne, które zdaleka spadają na obcą sobie zupełnie ludność i chcą tylko jak najprędzej i jak najwięcej unieść z sobą krwawej zdobyczy.“ Towarzystwo ochrony pracy przyjęło długą rezolucyę, zawierającą szereg żądań, których urzeczywistnienie stworzyłoby niejako kodeks opieki prawnej nad rdzenną ludnością kolonii. Samo to, czego dopiero trzeba żądać, świadczy o nadużyciach, które się tam dzieją. Więc przedewszystkiem towarzystwo żąda, żeby wszelkie kontrakty, nakładające zobowiązania na osobę lub majątek krajowca były zawierane z jednostkami, a nie z gminami lub przywódcami; w kontrakcie musi być wyraźnie zaznaczone, że dana jednostka dobrowolnie się na jego treść zgodziła. Musi on być zawarty w obecności odpowiedniej władzy i spisany w języku francuskim a także w języku zawierającego umowę; nie może obejmować co do swej długości żadnych zobowiązań, sprzecznych z prawem francuskiem (które, jak wiadomo uznaje za nieważne robocze zobowiązania dożywotnie, a tembardziej dziedziczne). Zresztą czas zobowiązania nie może przekraczać $1^1/_2$ roku dla krajowców a trzech lat dla imigrantów, ściąganych z Japonii, Chin itd. Wszystkie zobowiązania powinny być wyraźnie wymienione w kontrakcie, w którym musi być też zapewniony jeden dzień odpoczynku na tydzień. Robotnik w żadnym razie nie może być więziony przez pracodawcę, wolno mu w każdej chwili zanieść skargę do władzy; nie może być zatrzymywany dla odrobienia danych mu naprzód zaliczek. Nie wolno bić robotników, ani pozbawiać ich pokarmu pod karą grzywny i więzienia, nie wolno części wynagradzania wypłacać *alkoholem*(!) ani zmuszać robotników do nabywania żywności w sklepach przedsiebiorców. Roboty obowiązkowe mogą być nakładane tylko dla celów publicznych, nigdy dla przedsiebiorców prywatnych, i to na odległości nie większej nad 12 kilometrów od mieszkania. Nie wolno zaciągać przemocą tragarzy; dotychczas nie wahano się czasem zmuszać do tej pracy nawet kobiet i dzieci. Warsztaty

mieszkania robotnicze w przedsiebiorstwach publicznych i prywatnych mają odpowiadać wymaganiom *hygieny*. W każdej kolonii ma być wyższy urzędnik z charakterem i zadaniami opiekuna krajowców, który co rok ma składać sprawozdanie rządowi i parlamentowi. Wreszcie na wniosek socyalisty Lagardelle'a dodano żądanie, aby przynajmniej w starych koloniach, gdzie nie można się już powoływać na zupełną odmienność warunków, stosowane było ogólne, we Francyi obowiązujące prawodawstwo fabryczne.

I znowu, czytając te żądania powiedzieć przychodzi że nie zawierają one nic nadzwyczajnego, tylko odpowiadają najprostszym nakazom ludzkości. A jednak z pewnością bardzo długo poczekamy na urzeczywistnienie ich we Francyi, czy gdziekolwiekbądź indziej, a nawet kto wie, czy wogóle kapitalizm je urzeczywistni...

K. Krauz.

BADANIA NAUKOWE

Ujednostajnienie poglądu

na zadanie socyologii

Pojęcia socyologiczne odznaczają się niebywałą chaotycznością, co odbiera socyologii prawo zaliczenia się w poczet nauk. Dopóki nie nastąpi pewne ujednostajnienie się poglądów na jej zadanie, dopóki wśród jej pisarzów nie będzie skojarzonego współpracownictwa, metody w badaniach, dopóty ona jako nauka nie będzie robiła postępów. Rozgłośni socyologowie pomimo erudycyi nie zdołali utworzyć podwalin dla wiedzy, dostarczają raczej mniej lub więcej rozbieżnych i dowcipnych konstrukcyj logicznych. Wymagania, jakie ta umiejętność stawia badaczowi są niepomiernie wysokie. Nie wystarcza tu już wielostronna erudycya bo *potrzebną* się okazuje *wszechstronna.* *) Zgodnie z trafną klasyfikacya Comte'a socyologia opiera się na całokształcie wiedzy. Wymaga ona prócz tego raczej syntetycznych, niż analitycznych zdolności umysłowych. Tak rozległe żądania pochodzą stąd, że zjawiska społeczne kojarzą ze wszelkiemi zjawiskami, mającemi związek z człowiekiem, z jego otoczeniem ludzkiem i stanowiskiem przyrodniczem. Zjawisko społeczne jest rezultatem syntetycznego oddziaływania całej masy różnych które są wyodrębnione przez poszczególne nauki i obrane, jak przedmiot poszukiwań. Tymczasem badacze, dotąd opierali zazwyczaj socyologię na jednej grupie nauk, uważanej za najodpowiedniejszą do tego. Foullie i Letournesu usiłowali ją oprzeć na etnografii, Tarde i włoscy pisarze na psychologii zbiorowej. Spencer i Ritche na biologii, usiłując wprowadzić do niej pojęcia darwinistyczne, Engels, Loria i inni na historyi przewrotów gospodarczych. Nietylko to różni socyologów. Jedni czynnik psychiczny wysuwają, jako siłę kształcącą w rozwoju społecznym (Comte), inni znów przypisują tę własność czynnikowi materyalnemu w ciaśniejszem i obszerniejszem znaczeniu tego wyrazu. Niema też jedności co do samego zadania socyologii: Ratzenhofer pragnie z niej zrobić rozumowaną etykę społeczną, Simmel ogranicza jej zadanie do badań nad przyrodą form społecznych jako takich.

Jedni, jak Spencer, uważają społeczeństwo za organizm „sui generis", inni jak np. Lilienfeld za organizm w całem znaczeniu tego wyrazu.

Każdemu z tych twierdzeń można przyznać pewną dozę słuszności, najczęściej wychodząc z odmiennych założeń od tych. które służyły autorom za punkt wyjścia. Twierdzenia powyższe, względnie słuszne, o których wspomnieliśmy dla wykazania chaotyczności pojęć socyologicznych nie ogarniają tych prawd, które jednoczą, niezgodne z pozoru. O nich to zamierzamy pomówić. Zdaniem naszem, najbliższym prawdy jest Lippert, gdy jako pierwiastek procesów społecznych oznacza „Lebensfürsorge." Tem przyznaniem słuszności lippertowskiemu twierdzeniu nie określamy naszego stanowiska i dlatego należy nam je wyjaśnić.

Byt społeczny jest tylko jednym z ulepszonych sposobów walki o byt jednostki i zachowanie gatunku. Powstał on z instynktów pierwotnych na drodze empirycznej, jak wszystko, co podlega rozwojowi. Wychodząc z ogólnych założeń przyrodoznawstwa, z konieczności należy dojść do takiego wniosku. Cała psychofizyologia, tak człowieka jak zwierząt, cała ich ontogenia, biologia poucza, że jestewstwa organiczne do niczego innego nie są uzdolnione, jak do walki o byt i o zachowanie gatunku i żadnych innych własności nie posiadają, jak te, które bezpośrednio lub pośrednio do tego celu zmierzają. Już to samo, że byt społeczny jest wytworem ludzkim, świadczy o tem, iż służy on dla celów walki o byt jednostki i zachowanie gatunku. Tak samo rzecz się ma ze społeczeństwami zwierzęcemi, o różnicy ich w porównaniu z ludzkiem decyduje różnica doskonałości organicznej zwierzęcia i człowieka. Z powodu mniejszej wrażliwości intelektualnej zwierząt, mniejszego zakresu pamięci, nieposługiwania się mową, braku tradycyi, piśmiennictwa i tym podobnych czynników wtórnych, stadowe społeczeństwa zwierzęce przedstawiają nam pierwotny byt społeczny unieruchomiony, bo niezdolny do doskonalenia się ewolucyjnego.

Na pytanie, jaką drogą człowiek doszedł do wynalazku bytu społecznego w deterministycznie narzuconej mu trosce o zachowanie osobistego bytu i gatunku, niepodobna dać odpowiedzi bezwzględnie pewnej, można tylko przedstawić prawdopodobieństwa przekonywające. Wynalazek bytu społecznego powstał, jak wszelkie wynalazki, na drodze empirycznej i jest poszczególnym wypadkiem rozwoju. Istnieje empiryzm fizyologiczny, zawarunkowany przekształceniem plazmy pod wpływem bodźców zewnętrznych, istnieje też i pamięć fizyologiczna, ujawniona w dziedziczności. Współrzędnie z tym empiryzmem i pamięcią fizyologiczną mamy empiryzm i pamięć psychiczną, będącą inną postacią tegoż procesu. Wszelki rozwój jest doborem utylitarnym i integracyą faktów empirycznych. Na wynalazek bytu społecznego mógł się złożyć traf, przypadek, jeżeli coś podobnego w przyrodzie istnieje. — Ile razy nie znamy związku przyczynowego między zjawiskiemi, wyręczamy się pojęciem „trafu". Człowiek pierwotny w poszukiwaniu łupu lub znalazłszy się w niebezpieczeństwie mógł spotkać podobną do siebie istotę i wspólnie z nią związany tożsamością celu zdobyć łup lub uniknąć niebezpieczeństwa, zwłaszcza gdy łup był trudnym do zdobycia jednostkowemi siłami; a niebezpieczeństwo wielkie. Wspomnienie o łatwiejszem zdobyciu łupu wspólnemi siłami i uniknięciu niebezpieczeństwa, musiało się zachować dzięki pamięci i skojarzyć z przyjemnym afektem. Wypadki tego rodzaju, powtórzone i utrwalone wspomnieniem, zrodziły z biegiem czasu egoistyczny afekt społeczny, pod którego wpływem ludzie z epoki Neanderthalu mogli świadomie szukać zbiorowego współdziałania podczas wycieczek myśliwskich. Jakkolwiek naszkicowana historya tego wynalazku jest bardzo prawdopodobną, to jednak jest jeszcze prawdopodobniejszem, że instynkt płciowy współdziałał w wytworzeniu się pierwotnego zawiązku społecznego. Podczas poszukiwania samic mógł właśnie człowiek pierwotny być wystawiony na wspólne z niemi polowanie lub uniknięcie niebezpieczeństwa i przy tej okazyi doświadczyć korzyści wynikających ze współdziałania gromadnego. Wreszcie szkołą pouczającą o pożytku współdziałania, podziału pracy, hierarchii i organizacyi podczas wypraw myśliwskich, podczas napaści i obrony, mogła być pierwotna rodzina, której członkowie jeżeli nie znajdowali się w jednem miejscu, to znatury rzeczy w pobliżu siebie. Instynkt płciowy jeszcze i w innej postaci mógł oddziałać na zawiązek społeczny. Z obyczajów niektórych ptaków wiadomem jest, że w okresie parzenia się tworzą zbiorowiska gromadne; również obyczaje dzikich szczepów świadczą o skupiającem działaniu instynktu płciowego. W takim okresie pierwotna gromada ludzka mogła ulegać napaści lub znaleźć podnietę do szukania zdobyczy. Jedność miejsca i interesu, chociażby chwilowego tylko, zmuszała do zbiorowych występów współdziałania solidarnego, co zachowane we wspomnieniu i często powtórzone mogło się utrwalić i z fazy niewyraźnego odczuwania pożytku i potrzeby przejść w okres świadomego dążenia. Jesteśmy przekonani, że żadna z odgadywanych powyżej okoliczności nie działała wyłącznie, lecz wszystek wpływ swój wywierały, jak również jeszcze wiele innych okoliczności odgadywanych. Taką wydaje się nam historya naturalna powstania bytu społecznego. Upatrując w pierwotnym instynkcie samozachowawczym i płciowym bodziec, który we własnym interesie dał początek bytu społecznego, możemy powiedzieć, że ten ostatni był wielkim wynalazkiem etycznym, jeżeli pod tem zjawiskiem będziemy pojmowali wszelkie działalność odruchową, instynktową lub świadomą, zmierzającą do zachowania i doskonalenia osobnika i jego gatunku. Przy społecznym sposobie bytowania osobnik i jego potomstwo lepiej są zabezpieczeni; im wyższą jest forma społeczna, tem to zabezpieczenie i doskonalenie staje się pewniejszem, rozleglejszem, powszechniejszem. Rozwój społeczny zdąża ku takim wyższym formom właśnie. Socyologia, poszukująca jakichś „specyficznych" praw społecznych, ugania się za kwiatem paproci, którego nie znajdzie. Rozwój społeczny pod względem zewnętrznym, morfologicznym, jeśli tak wolno się wyrazić, podlega prawu ewolucyi w tłomaczeniu Spencera, którego głównem znamieniem są: różniczkowanie się, podział pracy i coraz silniejsza współzależność części składowych i całości, znajdująca swój wyraz w większej solidaryzacyi. Pod względem wewnętrznej treści, pod względem funkcyonalnym prawo rozwoju społecznego, wyczerpuje się w coraz zupełniejszem i celowszym dogadzaniu instynktowi samozachowawczemu i płciowemu osobników. Rozwój ten jest bez kresu i pokrywa całkowicie dzieje kultury. Zadaniem socyologii jest opisanie form społecznych, nakreślenie ich historyi naturalnej, uklasyfikowanie ich pod względem faz rozwojowych lub stopnia doskonałości, co na jedno wychodzi. Można więc zgodzić się na pogląd Simmla, że przedmiotem badań socyologicznych są formy społeczne, lecz nie z tego powodu, że przedstawiają byt samoistny, zjawisko „samo w sobie", jak się wyraził uczony z pośród narodu filozofów. Co się tyczy fizycznej strony społeczeństwa, będącego przedmiotem poszukiwań socyologicznych, to nie przesądzając metafizycznego pytania, czy społe-

*) Zamieszczamy ten artykuł ze świadomością że on otwiera pole do dyskusyi.

czeństwo jest organizmem lub nie można jednak twierdzić, że jako złożone z istot żywych jest ono tworem żyjącym, że składowe jego części cielesne, skupione oddziaływają na siebie i poczęści uzależniają przez zetknięcie się i działanie fizyczne, częściej zaś na drodze psychicznej. Gdy się jednak zważy, że jako rezultat oddziaływania psychicznego, zakończonego wzruszeniem, otrzymuje się też zmiany biograficzne i biochemiczne, jak i przy zetknięciu fizycznym to różnica między oddziaływaniem na drodze zetknięcia fizycznego jest tylko pozorna. Podobieństwo skutków znosi różnicę przyczyn bezpośrednich. Ze stanowiska monistycznego, dotąd nieobalonego, niema niemateryalnych objawów psychicznych. Bodaj że najodpowiedniejszym terminem, jaki możnaby zastosować do cielesnej strony społeczeństwa jest to nazwanie go supraorganizmem psychicznym. Zapobiegając niedość dokładnemu zrozumieniu nas, powtórzymy w tem miejscu, iż punktem wyjścia naszych wywodów jest ten fakt przyrodniczy, że człowiek na równi z każdem jestestwem organicznem przedstawia pod względem cielesnym nieśmiertelne komórki rozrodcze, ochraniane i obsługiwane przez komórki somatyczne, śmiertelne, pod względem zaś funkcyonalnym — instynkt samozachowawczo-rodzicielski, uzbrojony w narządy, zmysły, inteligencyę, co wszystko razem przejawia się w procesach psycho-fizyologicznych. Społeczny byt jest tylko poszczególnym wypadkiem i produktem psycho-fizyologicznych funkcyj człowieka, które z natury rzeczy nie mogą się wyzwolić z pod kategorycznych imperatywów instynktu samozachowawczo-rodzicielskiego, gdyż są jego odbiciem i emanacyą. To też treścią walk społecznych, sprowadzonych na grunt etyki, filozofii, idej i reform społecznych jest walka o chleb, niezbędny do uskutecznienia miłości, wreszcie o władzę, o tyle, o ile ta sprzyja posiadaniu chleba i łupu miłosnego: To się z tem zgadza, że instynkt samozachowawczo-rodzicielski jest podstawą dynamizmu społecznego. Wobec tego, że dobra materyalne tak bezpośrednio i rozlegle dogadzają instynktowi samozachowawczo-rodzicielskiemu, dziwić się nie można, że wiele form i przeobrażeń społecznych stosuje się prawie całkowicie do postulatów interesu materyalnego zwycięzkich grup społecznych. Stąd błąd ludzący, że czynnik ekonomiczny jest pierwotnym w kształtowaniu się życia społecznego, choć jest on wtórnym. Ponieważ zaś dla tych samych racyj, o których wyżej była mowa, cała produkcya myślowa, cała psychika jest subjektywnym wyrazem instynktu samozachowawczo-rodzicielskiego, przeto ci, którzy czynnikowi ideowemu, psychicznemu przypiszą siłę urabiającą ustrój społeczny, popełnią ten sam błąd, biorąc czynnik wtórny za pierwotny. Pierwsi zaś spierając się z drugiemi, wiodą spór dzieci, kłócących się o to, czy drzewo, przed którem stoją, jest „śliwką“ czy „węgierką“. Idee stosują się do pożądań, pożądania w pierwszej instancyi są określone w znacznej mierze przez instynkt samozachowawczo-rodzicielski. Idee mają za zadanie maskować lub usprawiedliwiać pożądania i towarzyszą im nierozdzielnie. Nie mają one nic wspólnego ani z bezwzględniejszą prawdą, ani z bezwzględniejszą sprawiedliwością, będąc jedynie zaznaczeniem stanowiska interesownego. Mózg i system nerwowy, jako organ samozachowawczy, na równi z innemi narzadami zdolnym jest wytwarzać tylko semozachowawcze poglądy. Oczywiście że wartość tych ostatnich jest bardzo rozmaitą. Niemniej ich samozachowawczość utylitarna może sięgać do jednostki lub grupy społecznej, ogarniać rozleglejsze sfery ludzkie. Uprzytomniamy sobie, że chcąc rozwinąć wygłoszone powyżej poglądy, należałoby się powołać na fakty z dziedziny etnografii, biologii, psychologii, dziejów kultury, umysłowości i przewrotów wewnętrznych, co rozszerzyłoby artykuł niniejszy do rozmiarów całego tomu. Pokusą w wypowiedzeniu powyższych poglądów było to, że godzą one ze sobą poszczególne twierdzenia. Comte'ów, Spencerów, Engelsów, Simlów, Ratzenhoferów, Lippertów i innych, odrzucając jednak w większości wypadków ich argumenty.

Alexy Kurcyusz.

LITERATURA I SZTUKA

Marceli Schwob.

Z zasiewu współczesnego wschodzą dziwne kwiaty. Nieznano ich przedtem. Kielich tych kwiatów drżąco sięga w górę. Trudno dać nazwę jego barwie. Płatki delikatne, wąziutkie chwieją się w powietrzu; kolor ich nikły. Linie, które tworzą—dziwnie subtelne. Subtelność ta jest tak wielka, że owiewa kwiat niedającym się określić czarem. Kwiat ten bez woni, o listkach bez barwy panuje nad nami delikatnością swego ciała. Linia jest tu wyrazem piękna: drobna, delikatna, lotna, mówi za wszystko. A kielich kwiatu drżąco wznosi się w górę, napawając oczy niezwykłym urokiem i budząc wzruszenie.

W życiu dni dzisiejszych pojawiają się dusze, szukające nowego piękna. Inaczej brzmią dla nich pieśni, inaczej szumią drzewa, inaczej przemawia do nich wszystko, co ma kształt. Myśl w nich panuje nad całością ducha. Twórczość tych ludzi to echo obrazów zmysłowych, rozbrzmiewające po rozległych korytarzach refleksyi. Twórczość ich to świadome skupienie odgłosów tego echa. Mózg ma nad treścią ich ducha przewagę. Dlatego twórców tych nazywam mózgowcami.

Do nich należy Marceli Schwob. Mowa jego jest prosta i jednolita. Gdy przychodzi chęć rozejrzenia się w jego poezyi, zgłębienia połączeń nici, ukrytych po za postaciami stylizowanemi, któremi poeta lubi się otaczać, wtedy stanie przed oczyma niezwykłe ich poplątanie i trudności zanalizowania rodowodu ich i początku.

Typ refleksyjny twórcy wyodrębnił się pod koniec XIX-go wieku. Nie oddaje on intuicyjnie wewnętrznej swej treści, nie obrazami zmysłowymi, t. j. łączeniem wrażeń, mających kształt formy lub dźwięku, a głosem cichym wypowiada odruchy myśli na rodzące się w jego duchu obrazy zmysłowe.

Umysł M. Schwoba, odwraca się z odrazą od płaskiego poziomu życia codziennego. Wskutek silnej refleksyjności nie zamyka się poeta dla zdarzeń zewnętrznych w ogromie swego wewnętrznego świata, lecz reaguje na nie silnie. Poszum wierzchni milknie, i do jego uszu dochodzi odgłos tak zwanej rzeczywistości. Słyszy on uderzenie pulsu, którego dotąd nie słyszał, bo ujrzał tajemny mechanizm zdarzeń i czynów, które zazwyczaj przyjęto nazywać przypadkowymi. Poprzez warstwę kurzu i codzienności dojrzał poeta nieskończoność. „Nie jesteśmy jedynymi ludźmi na ziemi“. Myśmy tylko przedstawicielami pewnego typu, odwiecznie powracającego. Czyny nasze mają zawsze w sobie podobieństwo z zamierzchłą przeszłością. Odruchy woli naszej są echem wzajemnej łączności wieków, my, panowie światów, jesteśmy atomem jednego wszechświata.

Ludzie zazwyczaj nie mają dostatecznej siły dla zdobycia pełnej świadomości tej dziwnej, zamkniętej w nich tajemnicy.

Na obliczu ich leży nieruchoma maska. Ci, co śmiać się mają, są smutni, ci, co smucić się powinni—weseli. A każdy oszukuje siebie i innych martwotą swych rysów. Król o masce złotej (Roi au masque d'or) nie widział nigdy twarzy ludzkiej, „bo powiedziane było w księgach świętych, które czytali i objaśniali kapłani, że dzień, w którym władca ujrzy twarz człowieczą, będzie dlań dniem klęski. Gdy wezbrała w nim siła dążąca do poznania, gdy ujrzał tego, co nie miał na twarzy maski, zszedł z tronu i poszedł szukać życia. Chciał czerpać ze źródła rozkoszy i radości, chciał być sam i zerwał maskę,—ułuda pierzchła, wesołość życia odwróciła z odrazą oczy od niego, ujrzał on, że twarz jego pokryta jest trądem. I rozpoczęła się męka: krew oczu, które mu ból wydrapał, omyła twarz, lecz on nie dostrzegł wypiękniénia i odszedł tam, gdzie nie ma masek. Tak tłomaczy M. Schwob duszę ludzką i jej pobyt na ziemi. Wierzy w nieskończoność i w to, że życie jest bez początku i końca. Lecz człowiek nie traci oparcia w życiu, a raczej ma je w tem, że czuje w sobie wielki niepokój! Każdy pędzi za gwiazdą przewodnią (L'étoile du bois).

W duszy ludzkiej w chwilach, kiedy ona wiedzie rozmowy z sobą, pojawia się uczucie tęsknoty. Uczucie to budzi się stale, a jednak coraz to w innej postaci. Tęsknota mówi doń: zapomnisz o mnie i powrócisz i znowu zapomnisz (Livre de Monelle). Przychodzi ona w chwilach zapomnienia. Mówi słowa pociechy, słowa wskazania i odchodzi. Przychodzi przez chłód i deszcz, aby złożyć pocałunek na czole znękanem i łzy otrzeć, rozproszyć mrok. I odchodzi—bo koniecznem jest, abyś mnie utracił, chcąc mię znaleźć. A skoro odnajdziesz, opuszczę cię znowu“. Człowiek żyje momentami? „Spal dom twój i spal samego siebie, aby dojść dalej, i patrz na rzeczy pod kątem chwili“. Wszystko mija, znika, powraca, odmienia się, tylko tajemnica, wiodąca te zmiany, trwa wiecznie. Naszym błędem jest zatrzymywać się w życiu i stać nieruchomo, patrzeć jak płynie potok wszystkiego lub próbować zatrzymać życie i budować domowisko wśród ruin.

We wszystkich swych utworach uwypukla Schwob tę właśnie stronę zdarzeń. Pozornie życie jest rozmaite, pozornie płynie ono różnymi torami, lecz we wszystkiem jest cecha jedności wewnętrznej; a tą jest dążenie, pragnienie—uczucia nieuchwytne, lecz będące nieodłączną cząstką ducha. Najwspanialszym dziełem Schwoba jest „Croisade des enfants“. „Mają oczy wiecznie w dal wpatrzone“. W dal — w daleką dal. Nuta tego wpatrzenia się w dal jest główną pieśnią ducha poety. Ona rozśpiewała jego twórczość, ona roześniła jego fantazyę i w przeszłości ukazała zjawiska, w których odczuł własną swoją duszę.

Dziwnie się kombinuje w tym niezwykłym duchu połączenie tego spojrzenia i wzroku rzuconego w dal z refleksyjnością umysłu. Wzrok jego jest silny, głęboki, nie tryska tysiącznymi snopy promieni, lecz chłodny, cicho wpatrzony przed siebie. Tematy, które wybiera są na pierwszy rzut oka niezwykłe, linie, któremi szkicuje swe pomysły — dziwnie uderzają odczuwalność naszą.

Twórczość M. Schwoba nazewnątrz jest zimna. Stylizowanie opowieści czyni z nich przedmioty kunsztowne, na wzór urn rzeźbionych. Gdy jednak tchnienie momentu nie zwieje z nią łączności, a obcowanie z poetą trwa dłużej, dziwny aromat idzie od jego mowy. Chłód jego utworów to tylko głos niezwykłej powściągliwości arty-

stycznej. Nie pisze on wybuchowo, temperamentem, lecz silną wolą skupia niezwykłą ekspresyę myśli w paru prostych obrazach.

Dla swych celów wybrał Schwob formę legendy. Legenda właśnie ma w sobie te strony tworu artystycznego, które odpowiadają jego duchowości. A więc przedewszystkiem — treść podatna jest do wszelkiego stylizowania. W łagodnej melodyi cichych słów zanikają szczegóły, drobne cząstki. Linie i kontury wyprostowują się, wszelkie zaokrąglenia tracą kanciastość i szybkość, a miękko faliste podkreślają wyraz ogólny. Łagodnie wymawiane słowa nabierają dziwnie silnego wyrazu, potężnieją, wznosząc się nad poziomy ziemskie.

Typem skupienia ekspresyi artystycznej w spokojnie łagodnej legendzie jest (tu znowu muszę się powtórzyć) Croisade des enfants. Jest to najsilniejsza jego rzecz.

Gdy się pragnie poznać twórczość którego poety, to tylko można odczuć ją w najsilniejszem napięciu energii jego ducha. Aby poznać Schwoba należy wczuć się w tę cudną opowieść o tysiącach dzieci, co budzone nieznanym im głosem, idą w dal na głód, mróz i poniewierkę, w niebiańską swą wizyę, idą na śmierć i męczarnie, pełne rozanielenia i roześnienia. W żadnym innym utworze nie oddał on subtelnej poezyi swego ducha. Ciche przymglone barwy, prosty, zwykły ton czynią z niej arcydzieło wytrzymania w stylu.

Forma utworów odpowiada treści duchowej poety. Powściągliwość w kolorze, stylizowanie w linii, akcent na całości refleksyi,—te są cechy M. Schwoba. Nie zawsze wytrzymuje on w tonie, lecz w głośnych swych rzeczach (Croisade des enfants, Le roi au masque d'or. Livre de Monelle) jest artystą, silnie dzierżącym w ręku glinę, z której lepi, i mogącym to oddać, co chce oddać. Świadomość artystyczna przyczynia się do nadania jego prozie niezwykłej prostoty i świeżości. Skupienie treści duchowej odbija się i na kształcie zewnętrznym: mowa ego jest niezwykle syntetyczna; w paru wyrażeniach szkicowych łączy wiele wyrazu.

Wielu z współczesnych poetów ujmuje świat jako echo nieskończoności. Schwob jednak nikogo z nich nie przypomina. Odczuwa on niezwykle oryginalnie i niezwykle oryginalnie oddaje swoje odczucie. Blizkim jest Laforgue'owi ogólną syntezę życia, lecz jakże te dwa duchy są odmienne pomimo swej styczności. Schwob mało ma w sobie niepokoju, mało gorączkowego szukania; świadomy swej treści w skupieniu ducha tworzy on pomnik — nieskończoności.

Zbigniew Brodzki.

Daumier i Gavarni.

Rozpowszechnione czasopismo angielskie „The Studio“ wydało niedawno oddzielny zeszyt dodatkowy, w którym przypomina szerszej publiczności znaczenie dwu koryfeuszów dawnej karykatury francuskiej — Daumier'a i Gavarni'ego.

Pod względem napięcia i siły talentu dwaj ci artyści właściwie niezbyt wiele mieli wspólnego, a dość spojrzeć na ich podobizny, by odrazu nabrać przekonania, że mamy do czynienia z różnemi zupełnie indywidualnościami artystycznemi. Łączy ich jednak i usprawiedliwia skojarzenie nazwisk w jeden wspólny tytuł — sporo zewnętrznych podobieństw. Przedewszystkiem, obaj zajmowali pierwszorzędne stanowisko w humorystycznej prasie paryskiej z drugiej i trzeciej ćwierci zeszłego stulecia. Przez długie lata królowali oni, poniekąd wzajemnie się dopełniali w tej prasie i w znacznym bardzo stopniu przyczyniali się do jej rozwoju, pełnego rozkwitu i do nadania jej charakteru niepośledniego czynnika życia polityczno-społecznego w całem państwie. Obaj prócz tego na pokolenie ówczesnych rysowników, mieli wpływ ogromny, widoczny u większości karykaturzystów europejskich danej epoki. Ślady tego wpływu jeszcze teraz tu i owdzie w czasopismach humorystycznych odnaleźć się dają.

Honoriusz Daumier (1808 — 1879) był niewątpliwie, jednym z najbardziej uniwersalnych artystów zeszłego stulecia i wogóle twórcą o zadziwiająco szerokiej skali. Genialny karykaturzysta-satyryk posiadał jednocześnie olbrzymi talent malarski i rzeźbiarski. Jego porywający, płomienny temperament artystyczny szedł w parze z żywotnym zawsze zmysłem i poczuciem dla zjawisk życia politycznego oraz społecznego.

Był on wrogiem wszelkiego gwałtu i ucisku, nienawidził ciasnych widnokręgów we wszelkich dziedzinach, i w ciągu długiego żywota satyrycznym ołówkiem, niby biczem ostrym i gryzącym, bez ustanku i bez miłosierdzia smagał braki i wykoślawienia ustroju politycznego, ohydne wybryki egoistycznej etyki burżuazyjnej. Zjadliwe jego karykatury dla „La Caricature“, „Charivari“ i innych czasopism, wykonane po większej części litografią,—skrzętny autor katalogu rozumowanego tych rysunków, p. Loys Delteil, wylicza do 12,000! — odegrały wielce znamienną rolę w zapasach partyj postępowych z reakcyą monarchii Ludwika Filipa oraz cesarstwa Napoleona III. Daumier niejednokrotnie płacił więzieniem za dobitne szyderstwa swojej weny satyrycznej.

Działalność ciętego i gorąco sprawie wolności oddanego karykaturzysty uczyniła nazwisko Daumier'a bardzo głośnem i popularnem wśród szerokich kół inteligencyi, twórczość czysto artystyczną pozostawiając w cieniu, dopiero w naszych czasach świetne i rzadkie cechy jego znakomitych obrazów olejnych, licznych akwarelli i nielicznych, niezrównanych rzeźb doczekały się należytej, sprawiedliwej oceny.

Jak na wielkiego artystę przystało, umiał on w tych utworach pozostać wyłącznie malarzem lub rzeźbiarzem, odrzucać hasła przejściowe życia potocznego, swoje tendencye i sympatye polityczne, biorąc głównie tematy młode, którym artysta z bożej łaski subjektywnie odczute, nowe kształty nadaje. Z wyjątkiem scen i typów ze świata sędziów i adwokatów, które z zamiłowaniem rysował lub malował i zawsze gorzką zaprawiał ironią, Daumier staje tu przed nami, jako malarz obyczajowy, jeśli koniecznie chodzi o klasyfikacyę. Wybierał motywy bardzo proste i niewyszukane, jak praczkę, wracającą z ciężarem z nad rzeki, kolekcyonistę wśród swoich skarbów, moment melodramatyczny na scenie teatru, grupę chłopów rozśpiewanych z kielichami w ręku lub zbiór typów w wagonie kolejowym, ale czysto żywiołowa potęga indywidualności oraz malarskie, w wielkim stylu pojmowanie rzeczy często malowidła te podnosiły na wyżynę takiej monumentalności syntetycznej, na jaką tylko najwięksi mistrze zdobyć się mogli. To też na ostatniej wystawie powszechnej w Paryżu obrazy Daumier'a w zachwyt wprawiały wszystkich znawców, a teraźniejsze pokolenie artystów bez wahania zalicza go do pierwszorzędnych odnowicieli sztuki współczesnej z drugiej połowy XIX stulecia.

Jeśli w portrecie Daumiera od pierwszego wejrzenia uderza nas mocno na karku osadzona, wyrazista i pełna temperamentu głowa, naznaczona wielką inteligencyą i jakąś zaciętą energią, to podobizna Gavarniego, z ujmującą, piękną twarzą o miękkich, delikatnych rysach i gęstych, jedwabistych włosach, wywołuje myśl o ulubieńcu losu i... kobiet. W istocie, po części był nim, a talent jego doskonale się do tego wrażenia dostraja.

Gavarni (1804—1866))—właściwie nazywał się Guillaume Sulpice Chevalier — był przedewszystkiem znakomitym rysownikiem, pełnym smaku, finezyi i dowcipu, w którym dźwięczała poetyczna nuta kobiecego trochę liryzmu. Karykatury jego dla czasopism humorystycznych, po części tych samych, dla których rysował Daumier, nie noszą piętna męzkiej siły i oryginalnej odrębności tego ostatniego, ale za to są mniej jednostajne, bardziej może artystyczne i więcej posiadają powabu. Gdy tamten woli maczugę, ten uderza szpicrutą, gdy tamten ze złością szydzi, ten z ironią ośmiesza. Daumier jest nam teraz drogim i blizkim w swoich utworach poważnych, o stylu monumentalnym, ale znaczna część jego karykatur pod względem formy, już nas odstręcza; wydają się nam zbyt przesadne, zgruba podkreślone, za mało artystyczne. Rysunki natomiast Gavarniego nie robią jeszcze, oczywiście w lepszej swej części, wrażenia przestarzałych. Jako mniej odrębne i stylizowane, mają więcej w sobie realizmu i odznaczają się na ogół większym stopniem piękna linii. Posiadają prócz tego jedną wybitną zaletę, chroniącą ich od starzenia się — wyraźną couleur locale, doskonale odźwierciadlającą ducha epoki w zewnętrznych jego przejawach. Jako człowiek światowy i artysta, Gavarni jednakowo wybornie znał oficyalną i zakulisową stronę życia sfer zamożnych oraz cyganeryi artystycznej, a talent obserwacyjny dał mu możność przeniesienia ich z wielką prawdą na stronice albumów i pism humorystycznych. Niezliczone jego rysunki, karykatury i ilustracye stanowią przeto arcybogatą kopalnię dla historyka obyczajów i kostyumów środka zeszłego stulecia. Zwłaszcza w rysowaniu kostyumów kobiecych Gavarni był istnym mistrzem, a zasób jego fantazyi, pomysłowości wybrednego gustu w tym kierunku był poprostu niewyczerpany. Jego śliczne, akwarelowe szkice kostyumowe dotychczas nie utraciły wartości artystycznej.

Jednak mylnem byłoby przypuszczenie, że Gavarni umiał tylko ślizgać się po powierzchni życia, i że rysunkom jego brak wszelkiej głębi. I owszem, zaglądał on nieraz w otchłań duszy ludzkiej, a dowodem—stworzona prze niego postać domorosłego filozofa w łachmanach, Tomasza Virelsque, przez którego usta humorysta zwykł był wypowiadać swoje poglądy na świat i ludzi. Virelsque i jego aforyzmy stoją w jednym rzędzie z analogicznemi figurami „Roberta Macaire“ u Daumiera i „pana Prudhomme“ u trzeciego karykaturzysty epoki, Henryka Monnier, w których znalazły wyraz najbardziej charakterystyczne rysy filozofii humorystycznej tych trzech artystów.

E. Eltinger.

SPRAWY EKONOMICZNE

Traktat handlowy rosyjsko-niemiecki.

Rząd niemiecki skończył układy w sprawie nowych traktatów handlowych i projekty ich przedstawił parlamentowi. Wszystkie one mają przedewszystkiem na względzie obronę interesów rolnictwa niemieckiego; obowiązywać pocz-

ną nie później niż dnia 18-go czerwca 1906 r.

Nas obchodzą najbardziej nowe przepisy celne, gdyż dowóz towarów niemieckich liczy się jeszcze na wiele milionów. Cło zaś od zboża wywożonego, z Rosyi do Niemiec będzie znacznie podwyższone: od 1 kwintalu (100 kg.) pszenicy ma wynosić 5,50 marek, od 1 kwintalu żyta i owsa 5 marek, od jęczmienia pastewnego 1,30 mk.

W wysokości dotychczasowej opłata celna będzie pobierana od: ryżu, mąki kartoflanej, chmielu, szczeciny, wosku pszczelnego, safianu, skór: chevreau, chagrin, glacé, skór wszelkiego rodzaju i wyrobów z nich, cementu, płyt łupkowych, węgli dla elektrotechniki, kafli, naczyń glinianych, fajansu, wyrobów ze szkła, ozdób dla choinek, kwasu ługowego, siarczanu miedzi i cynku, chlorku cynku, kofeiny, chininy, strychniny, kredy, talkum, prawdziwego i sztucznego indyga, farb miedzianych i arszenikowych, pigmentów, lepszych farb do miniatur, tuszu chińskiego, żelaza, żelaza sztabowego, niektórych wyrobów stalowych i żelaznych, maszyn i narzędzi rolniczych, przyrządów i narzędzi fizykalnych, niektórych zegarów, od fortepianów, pianin, niektórych instrumentów muzycznych, od bielizny papierowej, tkanin dywanowych, materyałów do pokrywania mebli, od obrusów, serwet, ręczników, półjedwabnego aksamitu i pluszu, od pasmanteryi, guzików, niektórych towarów galanteryjnych, od ołówków grafitowych i kolorowych; wzory, książki i pisma mają iść bez cła.

Obniżono zaś opłatę celną od ważniejszych, naturalnych wód mineralnych, od ryb świeżych (z wyjątkiem flonder i pstrągów), od świec, wyrobów stolarskich, tokarskich, drzewa rzeźbionego, niektórych wyrobów z kamienia rzeźbionego, od białej i malowanej porcelany, od grubszych tkanin wełnianych, lnianych, niektórych gatunków tiulu, koronek jedwabnych, przedmiotów konfekcyi damskiej i męzkiej z wyjątkiem kapeluszy damskich i wełnianych ubrań męzkich, od nieozdobnych parasoli jedwabnych, niektórych wyrobów galanteryjnych i zabawek dla dzieci.

Natomiast podwyższono cło od krochmalu, cebuli i czosnku, od włosia końskiego, wielkich skór garbowanych, niektórych skór do futer, niektórych artykułów skórzanych, od pasów do maszyn, wyrobów: bednarskich, drewnianych, zwyczajnych rzeźb z kamieni szlachetnych, od cegły fasonowanej, ogniotrwałej, od rur polewanych z gliny, od cienkich, jednokolorowych płyt posadzkowych, od dachówki, kwasu salicylowego, kwasu pyrogalowego i galowego i wogóle od wielu przedmiotów przemysłu chemicznego cło będzie znacznie podwyższone, tak samo od wyrobów aptekarskich, od różnych przedmiotów z miedzi, żelaza, białej blachy, od igieł, ozdobnych wyrobów nożowniczych, narzędzi rzemieślniczych, od wszelkiego rodzaju maszyn, motorów, przyrządów do mierzenia elektryczności, od rowerów, od papieru i tektury ozdobnej oraz wyrobów z nich, od obrazów, map rysunków, planów, pocztówek, od waty opatrunkowej, delikatnych tkanin wełnianych i lnianych, od aksamitu i pluszu bawełnianego, od niehaftowanych tiulów firankowych, bawełnianych, od parasoli jedwabnych, półjedwabnych i bawełnianych ozdobnych, od kijów do parasoli, od zwyczajnych artykułów galanteryjnych i toaletowych, od zabawek dla dzieci.

Wina niemieckie mają nadal podlegać tym samym przepisom, co wina innych państw.

Cukier wywożony będzie z Rosyi pod następującymi warunkami: cłem dodatkowem zgodnie z przepisami konwencyi bruskiej obłożony będzie tylko cukier przeznaczony do użytku w Niemczech. Rząd niemiecki nie będzie ograniczał, ani zakazywał dowozu cukru rosyjskiego.

Dowóz świń żywych nie ma przewyższać 2,500 sztuk tygodniowo. Mięso wywożone do Niemiec będzie podlegać rewizyi weterynaryjnej; dowóz jednych i drugiego może być zakazany ze względów zdrowotności.

Stosunek wzajemny został w następujący sposób określony:

„Produkty ziemi i przemysłu Rosyi, przywożone do Niemiec, tudzież produkty ziemi i przemysłu Niemiec, przywożone do Rosyi, przeznaczone do spożycia, do przechowania w składach, do powrotnego wywozu i do tranzyta, będą korzystały z pełnej równoprawności z produktami najbardziej uprzywilejowanych państw. W żadnym wypadku i pod żadnym pozorem nie mogą być poddane wyższym lub innym cłom, podatkom, pośrednim lub bezpośrednim, albo też podlegać dodatkowym cłom, lub zakazowi przywozu, które nie odnoszą się do jednorodnych produktów innego państwa. Stosownie do tego, wszelkie ulgi i przywileje, wszelkie obniżki ceł, oznaczone w ogólnych lub konwencyjnych taryfach, przyznane przez jedno z umawiających się trzeciemu państwu, rozciągają się niezwłocznie, bezwarunkowo i bez ograniczeń na produkty ziemi lub przemysłu innego państwa."

Co się tyczy pasportów kupieckich, dotychczasowa opłata utrwala się nadal. Wiza pasportowa w Rosyi jest ważna przez 6 miesiący. W tym względzie znoszą się wszelkie ograniczenia wyznaniowe. Dla robotników poddanych rosyjskich, wychodzących na roboty do Niemiec, utrzymano pasporty bezpłatne.

Statki, przybywające z Niemiec, nie będą opłacały cła na granicy. Na Niemnie będą mogły kursować statki osobowe, niemieckie.

Termin sprzedaży własności ziemskiej przez poddanych niemieckich w Cesarstwie Rosyjskiem będzie przedłużony z 3 na 10 lat.

BEZROBOCIE.

W piątek d. 27 stycznia — pisze *Dniew. Warsz.* robotnicy w fabrykach i zakładach przemysłowych rozpoczęli pracę w czasie zwykłym, ale już około godz. 7-ej rano w kilku z nich roboty wstrzymano. Strajkujący zaczęli obchodzić grupami inne zakłady przemysłowe, gdzie na ich żądanie natychmiast przerywano zajęcia. W liczbie najpierwszych przerwała roboty gazownia za rogatką Wolską w gm. Czyste, którą ochraniała kompania żołnierzy. Na miejsce robotników postawiono żołnierzy.

Na wieść o strajkach mieszkańcy Warszawy, obawiając się braku prowizyi i wody, poczęli na gwałt zaopatrywać się w jedne i drugą. Skutkiem wielkiego zapotrzebowania wody, tej ostatniej w rurach na górnych piętrach około godz. 2-ej popołud. zabrakło; lecz wkrótce pokazała się znowu. Około sklepów z bułkami stały tłumy ludzi. Szybko rozchwytywano nawet chleb czerstwy. Ci, co nie dostali chleba w sklepach, rzucili się do piekarń, gdzie powstał ścisk i zamieszanie; na ulicach napadnięto na dwa furgony z chlebem, który rozchwytano.

O godz. 3-ej w większości fabryk, zakładów przemysłowych i pracowni rzemieślniczych zaprzestano roboty, i robotnicy w dużych gromadach poczęli krążyć po przyległych do fabryk ulicach.

W celu utrzymania porządku, oprócz organów policyi, wyznaczono oddziały wojskowe z załogi warszawskiej, które rozesłano po wszystkich dzielnicach miasta.

Wszystkie sklepy monopolowe rozkazano zamknąć.

Około godz. 4-ej pp., przy zbiegu ulic Chłodnej z Wronią, zgromadził się tłum około 1,000 ludzi. Z tłumu poczęto rzucać kamieniami i strzelać do oddziałów policyi i żandarmów pieszych.

Oddział był zniewolony dać kilka wystrzałów pojedyńczych, którymi zabito dwóch ludzi niewiadomego nazwiska z pośród wichrzycieli. Tłum, zauważywszy zbliżające się wojsko, rozproszył się.

Drugi wypadek napaści tłumu zdarzył się na Lesznie, gdzie on usiłował odbić 6 aresztowanych, lecz został rozproszony.

Wichrzyciele, wałęsając się po ulicach, o godz. 6-ej w. napadli na sklep monopolowy w domu Nr. 66 przy ul. Chłodnej, a o godz. 8-ej w. w domu Nr. 16 przy ul. Młynarskiej i rozpoczęli rabować trunki oraz pieniądze, przyczem potłukli masę naczyń i zniszczyli urządzenie. Aresztowano 18 osób z częścią pochwyconych butelek. Rabusie wtargnęli do sklepu monopolowego w domu Nr. 41 przy ul. Wroniej, lecz nie zdążyli go zrabować.

W godzinach popołudniowych banda strejkujących dostała się do stacyi telefonów miejskich; spłoszone telefonistki uciekły; komunikacyę wznowiono wkrótce, chociaż skutkiem małej liczby telefonistek, które powróciły do zajęcia, i zepsucia przez strajkujących przewodników, łączenia odbywały się z dużemi trudnościami.

W tymże czasie strajkujący obchodzili drukarnie i wstrzymywali rokoty, grożąc zecerom użyciem gwału. Skutkiem tego, z dzienników warszawskich w dniu 28 stycznia wyszły tylko *Warsz. Dniew.* i *Gazeta Policyjna.*

Grupy wichrzycieli obchodzić też poczęły cukiernie, wypędzając stamtąd kelnerów.

Ogółem do wieczora w dniu 27 stycznia zastrajkowało w Warszawie 15,000 robotników.

O g. 10-ej w. tłumy rozproszyły się; na ulicach widać było tylko patrole i pojedyńczych przechodniów. Przedstawienia w teatrach odbyły się przy niewielkiej liczbie widzów.

Dnia 28 stycznia od rana na ulicach miasta ukazywać się poczęły niewielkie grupy strajkujących robotników, za którymi ciągnęli złodzieje profesyonalni, awanturnicy i wyrostki uliczne. Grupy te w obecności oddziałów wojskowych zachowywały się spokojnie, lecz korzystały z każdej okazyi, ażeby wszczynać awantury, rozpraszając się za ukazaniem się wojska.

Wybryki rozpoczęły się psuciem aparatów telefonicznych, rozdzielczych, znajdujących się w szafkach żelaznych, ustawionych przy chodnikach; następnie awanturnicy poczęli obchodzić sklepy, żądając ich zamykania, zatrzymywali dorożkarzy, zdejmowali z nich liberye i wysadzali pasażerów, zmuszając gwałtem dorożkarzy do jechania do domu. To samo robiono z woźnicami wozów ładownych i posłańcami miejskimi.

Z wozów z węglem, które wyjechały z ulicy Towarowej, tłum zrabował węgiel. Jednocześnie rozpoczęli rozbijać latarnie uliczne.

Patrole wojskowe nie mogły zdążyć na czas we wszystkie miejsca, gdzie wszczynano awantury.

Po południu tłum awanturników zwiększył się i objawy gwałtów poczęły być jeszcze jaskrawsze. Wagony kolei konnej zatrzymywano w dzielnicach kresowych, szyby w nich wybijano kamieniami, pasażerów zmuszano do opuszczenia wagonów, tak że trzeba było ruch zatamować. Następnie tłum rzucił się na sklepy monopolowe w różnych dzielnicach miasta i zrabował je. Niektóre podpalono. Zrabowano w obrębie 3, 5, 6 i 8 cyrkułów 22 sklepy,

z nich 7 podpalono. Na 6 sklepów w tychże cyrkułach dokonano napaści, lecz napastnicy zostali rozproszeni. Do miejsc wszystkich, gdzie wszczynano zaburzenia były natychmiast wyprawiane oddziały wojskowe, za których ukazaniem się część awanturników rozbiegała się, część zaś próbowała stawiać opór i była rozpraszana bronią. W niektórych miejscach tłum stawiał opór zbrojny, strzelając salwami, na Marszałkowskiej zaś do oddziału policyi strzelano ze sklepu w domu Nr. 129.

Na rogu Wroniej i Grzybowskiej około g. 7-ej w. ukazała się barykada ze skrzynek zrabowanych w sklepach monopolowych: z po za tej barykady strzelano do oddziału wojska, który rozproszył atakujących. Do przechodzącego patrolu na rogu Towarowej i Grzybowskiej dano kilka wystrzałów z domu narożnego, skutkiem czego do tego domu dano salwę.

Z nastaniem zmroku zaburzenia wzmogły się jeszcze bardziej.

Tłumy, krążące po ulicach, słabo oświetlonych w niektórych miejscach latarniami gazowemi, w innych ogniskami, zapalonemi z rozporządzenia policyi, rozpoczęły pogrom sklepów, rozbijając w nich szyby lustrzane i rozrzucając towary: Za awanturnikami podążały kobiety i dzieci z workami, rabując towary ze sklepów.

Napadnięto i zrabowano przed przybyciem oddziału wojska składy broni Sosnowskiego na Trębackiej i Niżałowskiego na Królewskiej. Pogrom sklepów odbył się na ulicach Trębackiej, Miodowej, Marszałkowskiej, Granicznej, Nowolipkach, Pawiej, Nowolipiu, S-to Krzyskiej. Zrabowano też sklepiki na Łuckiej, Wroniej, Pańskiej, Grójeckiej.

W ciągu dnia bezrobocie ogarnęło i te zakłady przemysłowe, w których robotnicy nie zastrajkowali w d. 27 stycznia. We wszystkich razach robotnicy zaprzestawali roboty pod wpływem osób, które wdzierały się do fabryk.

W dn. 29 stycznia awantury rozpoczęły się od samego rana. O świcie przybyli ze wsi sąsiednich złodzieje pobytowi zrabowali w obrębie 5-go cyrkułu browar i dwa sklepy, o godzinie zaś 8-ej r. rozpoczęły się napaści na sklepy monopolowe w obrębie cyrkułów 6, 8 i 10-go, a także na sklepy prywatne w różnych dzielnicach miasta.

Dzięki wzmocnieniu ochrony wojskowej oddziałami, wezwanemi do Warszawy, większa część ataków awanturującego się tłumu była odparta w czasie właściwym siłą zbrojną i ucierpiało tylko około 30 sklepów, w niektórych zaś sklepach monopolowych zniszczono urządzenie.

Starcia oddziałów wojskowych z tłumem, strzelającym z rewolwerów, kończyły się zwykle po pierwszej salwie rozproszeniem wichrzycieli, starających się zabierać z sobą ranionych i zabitych, skutkiem czego ustalenie ścisłej ich liczby jest niemożliwe. Według posiadanych danych, padło ogółem w ciągu trzech dni zaburzeń około 60-u ludzi, ranionych zanotowano 69 osób. Zaaresztowano do 300 osób.

W czasie uśmierzania zaburzeń, z pomiędzy członków policyi, żandarmów i żołnierzy raniono 7 osób, w tem 1 żandarm i 1 stójkowy ciężko.

Wogóle wzmocnienie ochrony wojskowej i stanowcze działania bronią doprowadziły do okiełznania rozuzdanego tłumu.

W dn. 30 stycznia od rana ukazały się na ulicach wagony kolei konnej i dorożki. Na mieście spokój. Starć oddziałów wojskowych z tłumem nie było.

Według otrzymanych w ostatniej chwili wiadomości bezrobocie rozszerzyło się na fabryki i zakłady przemysłowe m. Łodzi i na niektóre fabryki w guberniach radomskiej i kaliskiej".

„W Warszawie,—pisze tenże sam *Dziewnik*, jak się to działo w Petersburgu i w innych miejscowościach, do rozruchów, wywołanych w mieście przez bezrobocie robotników, dołączyły się zaburzenia, wszczynane głównie przez ludzi nieokreślonej profesyi i zbiorowiska szumowin miejskich, ukrywających się w różnych lupanarach i przytułkach noclegowych. Korzystając z tego, że członkowie policyi i patrole wojskowe niezawsze zdążyć mogły na czas do miejsc, gdzie wszczynano zaburzenia, te wyrzutki społeczeństwa dały folgę swym instynktom zwierzęcym i zdążyły dokonać kilka pogromów sklepów i magazynów, zmusiwszy w ten sposób pozostałych kupców do zamknięcia swych sklepów.

W dniu 30 stycznia generał-gubernator warszawski ogłosił w skutek zatwierdzenia ministra spraw wewnętrznych Warszawę i Łodź, gubernie Warszawską i Piotrkowską w stanie ochrony wzmocnionej.

Zawiadomienie o tem rozlepiono po całem mieście, ogłaszając jednocześnie szereg przepisów obostrzających, jak: zamknięcie domów, gdzie przy bramach nakazano czuwać stróżom bez przerwy od świtu do 11-ej w nocy, wpuszczać lub wypuszczać tylko lokatorów lub takie osoby, o które ktokolwiek z nich prosić będzie i t. p.

Kurator okręgu naukowego warszawskiego, wobec panujących w mieście rozruchów kazał zawiesić zajęcia we wszystkich zakładach naukowych, podwładnych ministeryum oświaty.

W uzupełniającym opisie zaburzeń warszawskich. *Warsz. Dniew.* pomieścił następujący szczegół:

„Zatrzymywanie przez patrole wojskowe podejrzanych przestraszyło awanturników i dało możność wykryć wiele noży i rewolwerów, oraz, co najważniejsza, oddało w ręce policyi kilku przywódców zaburzeń. Pomiędzy innymi, na rogu placu Grzybowskiego i ul. Królewskiej aresztowano jednego z głównych kierowników żywiołów nielegalnych, który przez dzień przebywał w Warszawie, a na noc wyjeżdżał koleją „na prowincyę" dla większego bezpieczeństwa. Znaleziono przy nim trzy rewolwery, pasport austryacki i mnóstwo kompromitujących go papierów".

Z Łodzi *Warsz. Dniewnik* otrzymał w d. 28 b. m. telegram następujący:

Łódź, d. 27-go stycznia. Dziś zastrejkowało około 100,000 robotników. Roboty zaprzestano we wszystkich fabrykach, warsztatach, drukarniach i t. p.; gazety już nie wychodzą, telefony w mieście nie działają; połączenie telefoniczne Warszawa-Łódź przerwane. Bezrobocie zaczęło się w fabrykach L. Geyera, Scheiblera i Steinerta, gdzie pracuje około 25,000 ludzi. Porządek nie był nigdzie zakłócony.

„Grupy ludzi — jak pisze *Kozuój* krążyły, po mieście żądając zawieszenia robót. W piątek wieczorem d. 27 stycznia wszystkie już fabryki stanęły.

W celu utrzymania porządku gubernator piotrkowski przedsięwziął wszelkie środki. W ciągu ostatnich dni przybyła do Łodzi dywizya piechoty i 2 pułki kawaleryi.

Fabrykanci wywiesili następujące ogłoszenia:

„Uwzględniając ciężkie materyalne położenie niektórych robotników i pragnąc im dopomódz, zwracamy się do robotników naszej fabryki, żeby zechcieli wybrać z pośród siebie kilku delegatów w celu wspólnego, natychmiastowego rozpatrzenia możliwego polepszenia dobrobytu najgorzej postawionych materyalnie robotników. Powyższe rozpatrzenie będzie możliwe naturalnie dopiero po przystąpieniu robotników do pracy".

Życie w Łodzi, jak donosi *Łódz. list.*, płynie już normalnym trybem. Piekarnie jatki, cukiernie i warsztaty funkcyonują prawidłowo.

W kantorach fabrycznych i handlowych rozpoczęły się zwykłe zajęcia.

W poniedziałek, 6 b. m., była wznowiona praca w fabrykach.

Jest oczekiwane przywrócenie komunikacyi tramwajowej oraz ruchu osobowego na kolei podjazdowej „Łódź-Zgierz-Pabjanice".

Telefony miejskie i telefon „Warszawa-Łódź" funkcyonują prawidłowo.

Towarowe stacye kolejowe są czynne.

Gazowe oświetlenie ulic jest zupełnie normalne.

Ceny artykułów pierwszej potrzeby powracają do zwykłego poziomu.

Na zasadzie zatwierdzenia przez ministra spraw wewnętrznych, generał gubernator warszawski ogłosił w guberniach kaliskiej, radomskiej i siedleckiej stan ochrony wzmocnionej.

Warsz. dniewnik donosi; „Według otrzymanych wiadomości, w zeszłym tygodniu rozpoczął się strajk robotników fabrycznych w guberniach piotrkowskiej, kaliskiej, radomskiej, lubelskiej i warszawskiej; przyczem w Łodzi i w Radomiu, gdzie po zaprzestaniu pracy wynikły rozruchy uliczne, wojsko musiało użyć broni.

Od d. 1-go b. m. zastrajkowali robotnicy okręgu sosnowieckiego, lecz do d. 4-go b. m. żadnych jaskrawszych przejawów zaburzeń nie było, pomijając oddzielne epizody, których sprawcami były wyrostki i różne męty społeczne.

Strajk robotników zaczął się i w gub. suwalskiej, lecz nie przybrał większych rozmiarów i wkrótce ustał.

Biskup dyecezyi lubelskiej ogłosił następującą odezwę:

Z rozmaitych miast dochodzą wiadomości o wielkich nieszczęściach, jakich mieszkańcy ich stali się ofiarą. Pisma głoszą już nie o dziesiątkach, ale o setkach ludzi, którzy w zamieszkach tych utracili życie. A cóż mówić o liczbie rannych, o wyrządzonych szkodach w majętnościach i zasobach, na które przez długie lata składała się praca ludzka. Tem więcej jest to dziwnem i trudnem do zrozumienia, że zamieszanie to, wywołane jakimściś podmuchem, powstało wśród najspokojniejszego czasu i że ci, co zaprzestali pracy, żadnych żądań ze swej strony nie wypowiadają i nie stawiają, o ile słyszę, żadnych warunków.

W mieście naszem, oprócz zaprzestania pracy w fabrykach, żadnych innych nieszczęść dotychczas nie było. Ponieważ jednak jest to możliwem, proszę usilnie wszystkich pracowników, aby osobiście lub przez wybranych delegatów w dniu jutrzejszym, to jest we środę, o godz. 10-ej rano, znaleźli się w kościele katedralnym i przedstawili mi swe żądania z całą swobodą i otwartością; sądzę bowiem, że tą drogą sprawa się wyprostuje i nieszczęściu się zapobiegnie.

Ja ze swej strony zaręczam, że z powodu tego zebrania, nikt do odpowiedzialności pociągnięty nie będzie.

Lublin, dnia 31 stycznia 1905 roku.

Franciszek Jaczewski,
biskup lubelski.

W Wilnie, według informacyi *Wilen. Wiest.* bezrobocie rozpoczęło się dnia 24 stycznia: pierwsi przerwali pracę szewcy. Następnie tegoż dnia robotnicy garbarni Rywkina na Łukiszkach postanowili zawiesić roboty i w tymże samym celu rozpoczęli agitacyę w innych zakładach i fabrykach. Policya rozproszyła gromady, namawiające do przerwania robót, i zaaresztowała kilkudziesięciu robotników. Pomimo to o godzinie 4-ej tegoż dnia stanęły wszystkie garbarnie. Jednocześnie zaprzestały pracy drukarnie i inne drobne zakłady przemysłowe.

Robotnicy zaczęli obchodzić sklepy domagając się ich zamknięcia.—Policya przeszkodziła tej agitacyi. Wskutek ochrony przez policyę większość fabryk nie przerwała czynności. Bezrobocie wogóle nie przybrało szerszych rozmiarów. W dniu 30 stycznia praca została wznowiona wszędzie w zupełnym spokoju.

W Kijowie, jak donosi *Kijewlanin*, strajk robotników rozpoczął się dnia 25 stycznia przerwaniem pracy o godzinie 2½ po południu w fabryce budowy maszyn Goetera i Krzywanka, gdzie pracuje przeszło 800 robotników, następnie w Południowo-Rosyjskiej fabryce maszyn, zatrudniającej przeszło 600. Następnego dnia młodzi robotnicy z tych fabryk zebrali się w celu porozumienia się z administracyami, starsi uchylili się od narad. W dniu 27 już robotnicy z powyższych fabryk zaczęli stopniowo powracać do pracy, a natomiast porzucili pracę robotnicy fabryki mechanicznej Dnieprowskiej, oraz Peedli i Ungerman. Jednocześnie zastrajkowano w piekarni Kirchhejma.

W dniu 1 lutego roboty wszędzie zostały wznowione.

W Mińsku, dowiadujemy się z *Siew. Zap. Kr.* d. 26 stycznia przerwała roboty fabryka tytuniowa Zuckermana. Następnie zastrajkowali krawcy. Wieczorem tegoż dnia przerwano robotę we wszystkich drukarniach. Nazajutrz gazety nie wyszły.

Robotnicy krążyli po ulicach, nie zakłócając spokoju, ale zachęcając kolegów do przerwania zajęć. Stanęły wszystkie zakłady i warsztaty pracy, wszystkie fabryki. Wszędzie opuszczono roboty w spokoju. Żądań robotnicy nie stawiali żadnych. Na mieście pomnożono posterunki policyjne, licznie krążyły patrole.

Pod wpływem przesadzonych pogłosek wszyscy pośpiesznie zaopatrywali się w produkty pierwszej potrzeby. Przekupnie, korzystając z tego, podnieśli ceny.

Dnia 26 stycznia robotnicy probowali wystąpić z demonstracyą, lecz ich rozproszono.

Dnia 30 bezrobocie się skończyło.

W Rydze, czytamy w *Ryskim Wiest.* bezrobocie, przygotowywane oddawna, rozpoczęło się 24 stycznia. W południe tegoż dnia stanęły prawie wszystkie fabryki, zastrajkowało około 15000 robotników. *Ryskie Wied.* donoszą, że stawiali oni te same żądania, co robotnicy petersburscy. Wojsko zajęło fabryki i krańce miasta.

Życie publiczne w Rosyi.

Na posiedzeniu komitetu ministrów d. 18 z. m., roztrząsano sprawę większej samodzielności samorządów miejskich i ziemskich.

„Od początku posiedzenia — donosi *Ruś* — przeważały zdania, krytykujące ustrój obecny. Wiele przepisów nie odpowiada wymaganiom racyonalnego samorządu, a nawet są wprost im przeciwne, niektóre zaś gwałcą zasadnicze wymagania procedury, obowiązującej w aktach prawodawczych. Tak np. miejskie i ziemskie organy samorządu niekiedy pozbawione są prawa samodzielnego rozporządzania sumami przez siebie zebranemi. Bardzo często wpływają na rozporządzanie sumami komisye z przeważającym udziałem urzędników, wcale nieobeznanych z potrzebami miejscowemi. W zasadzie uznano za niezbędne zarówno dla zaspokojenia istotnych potrzeb kraju, jako też dla zadość uczynienia wskazówkom Ukazu w punkcie 2-im,—nadanie samorządom możliwie największej niezależności. Wypowiedziano życzenie, że byłoby pożądane oprzeć nowe przepisy na zasadach wskazanych prawem z r. 1864, przyczem jednak byłoby koniecznem znacznie rozszerzyć je w tych częściach, w których w ciągu 40 tu lat stało się przestarzałe.

Postanowiono komisyi przekazać opracowanie nowych przepisów, na zasadach samorządu w najszerszem znaczeniu. Opracowany projekt postanowiono przed zatwierdzeniem go przez radę państwa, dać do rozważenia przedstawicielom ziemstw i miast.

Przytem komitet ministrów ujawnił dwa przeciwne prądy. Jedni dla rozważenia opracowanego projektu, proponowali zwołanie zjazdu przedstawicieli miast i ziemstw. Przemawiali za tem między innymi prezes komitetu, minister spraw wewnętrznych ks. Światopołk-Mirski i minister skarbu Kokowcow. Inni uważali za niezbędne projekt opracowany rozesłać przedstawicielom miast i ziemstw. Wniosek ten spotkała opozycya. Utrzymywano, że taki sposób rozpatrywania projektu przedłużyłby sprawę o jakieś dwa lata, gdyż ziemstwa gubernialne powołałyby do szerokiego udziału ziemstwa powiatowe. Wobec tego większość przychyliła się się do projektu zwołania zjazdu.

Uznano także za pożądane, ażeby w opracowaniu nowych przepisów wzięli udział ludzie świadomi rzeczy i niektórzy przedstawiciele organów samorządu z prawem głosu. Myśl stworzenia drobnej jednostki ziemskiej przyjęto przychylnie".

Wiestnik Europy komentuje Ukaz Najwyższy w do komitetu ministrów.

„Komitetet ministrów—powiada znany miesięcznik—nigdy nie działał jeszcze na tak szeroką skalę. Wydawał tymczasowe przepisy, żadnego twórczego nie dokonał dzieła, rozstrzygał sprawy natury prywatnej, najczęściej specyalne wydawał zarządzenia, rozmijające się najzupełniej z podstawowemi zasadami samego prawa. A Ukaz Najwyższy stoi właśnie w sprzeczności z zasadami naszej ćwierćwiekowej, ostatniej polityki wewnętrznej—przeto trudno spodziewać się, aby gremium, które zawsze hołdowało tym zasadom, przeciwko którym występuje Ukaz Najwyższy, mogło do zamierzonego skutku doprowadzić dzieło, zainicyowane przez rozkaz Monarszy. Uchwały komitetu ministrów będzie roztrząsała rada państwa, znajdzie się większość niesolidaryzująca się z polityką naszą wewnętrzną z ostatnich lat dwudziestu pięciu, z polityką, której właśnie Ukaz Najwyższy dotkliwy cios zadać pragnie. Wynika stąd, że dla wprowadzenia w życie zarządzeń monarszych bodaj że trzeba będzie użyć sił świeżych".

Obok wypracowanego projektu budżetu państwa, nowy minister skarbu Kokowcew, w raporcie swym nakreślił cały szereg uwag o ogólnem położeniu ekonomicznem, wśród których znajdujemy także szczegóły urzędowe o przesileniu przemysłowem w Królestwie Polskiem: „W największych trudnościach znalazł się teraz przemysł Królestwa Polskiego, zwłaszcza tkacki, przędzalniczy w okręgu łódzkim i produkcya towarów galanteryjnych w Warszawie. Przyczyny tych trudności tkwią w zmniejszeniu zapotrzebowania towaru, zwłaszcza galanteryi, w niektórych miejscach zbytu miejscowych wyrobów, gdzie siła nabywcza ludności zmnieszyła się wskutek niedoboru zbóż i powołania rezerwistów do służby czynnej. Przytem dawniejszy, szybki wzrost produkcyi Królestwa Polskiego, szczególnie w okręgu łódzkim, zmusił fabrykantów miejscowych do starania się wszelkiemi siłami o rozszerzenie koła swej klienteli.

„Z chwilą wybuchu wojny, kiedy położenie niektórych pośredników-kupców zachwiało się, zbyt towarów zmniejszył się, i fabryki były zmuszone ograniczyć produkcyę. Trudności, które odczuwa przemysł Królestwa Polskiego, nie pociągnęły za sobą poważnych wstrząśnień dla większych fabryk; zato położenie średnich i mniejszych przedsiębiorców, zwłaszcza rzemieślników i osób trudniących się przemysłem domowym, jest niezadawalające; pewna ich część pozostała bez zarobku.

„Dodać należy, że przesilenie w przemyśle miejscowym nie jest pieniężne, lecz czysto towarowe, gdyż poważne firmy nie mają wcale utrudnionego kredytu; brak środków odczuwają tylko producenci z mniejszą zdolnością kredytową, którzy nie mogą instytucyom bankowym dać rękojmi co do solidności swoich zobowiązań.

„W ostatnich czasach w usposobieniu łódzkiego rynku przemysłowego zauważyć było można polepszenie; sprzedaż towarów z fabryk powiększyła się i rozpłaty są regularniejsze: niektóre fabryki zaczęły powiększać swą produkcyę.

Minister Kokowcew zaznacza, że zastój w przemyśle tkackim Królestwa Polskiego nie mógł nie odbić się na zapotrzebowaniu węgla kamiennego w zagłębiu Dąbrowskiem, które zmniejszyło się znacznie.

W końcu minister twierdzi porównawczo, że wywołane przez okoliczności nadzwyczajne trudności, odbiły się na moskiewskim rejonie przemysłowym, lecz w mniejszym stopniu, niż w Królestwie Polskiem, co tłomaczy się z jednej strony przewagą większych przedsiębiorstw, które łatwiej stawią czoło niepomyślnym warunkom okresu wojennego, a z drugiej — obfitym urodzajem w rejonie zbytu wyrobów moskiewskich".

KRONIKA

Wiadomości społeczne. Komisya budżetowa parlamentu niemieckiego określiła sumę 200,000 mk. na tak zwane *Ostmarkenzulage* (wynagrodzenie dodatkowe) za gorliwe pełnienie obowiązków ze strony urzędników pocztowych w W. Ks. Poznańskiem.

— W Mińsku, jak pisze *Russkoje Słowo*, „do rady miejskiej wniesiono projekt podania o pozwolenie grywania w teatrze miejskim po polsku i po żydowsku. W razie odmowy jest zamiar oddania gmachu teatralnego na koszary."

— *Ruś* zamieściła w całości memoryały polskie podane ministrowi: Władysława hrabiego Tyszkiewicza tudzież 23 przedstawicieli arystokracyi polskiej i kilku osób z pośród dziennikarzy i innych zawodów, wreszcie do prezesa komitetu ministrów, Wittego, podanie szlachty mińskiej. W tym samym numerze redakcya zamieściła artykuł, komentujący te memoryały.

— *Zapad. Gołos* donosi, że właściciel fabryki wyrobów platerowanych, p. Fraget odmówił przyjęcia napowrót robotników, którzy wzięli udział w bezrobociu, tłómacząc, że ma dosyć gotowego materyału i trzymał robotników tylko w ich własnym interesie, aby im dostarczyć pracy. Zachowanie się ich obecne skłania go do zerwania z nimi wszelkiego stosunku.

— Z powodu zamknięcia instytutu Technologicznego w Petersburgu, jak donosi *Ruś*, osoby wykładające, laboranci i profesorowie-adjunkci zwrócili się do komitetu naukowego z prośbą, o dokładne umotywowanie tak wyjątkowego środka, jak zamknięcie Instytutu. Instytut inżynierów górniczych został również zamknięty aż do nowego rozporządzenia, z pozostawieniem studentom prawa składania egzaminów w jesieni. Zawieszono również wykłady w wojennej Akademii medycznej — do września.

— Do ministeryum oświaty wniesiono projekt zorganizowania specyalnego sądu profesorskiego.

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum skarbu postanowiło w jak najkrótszym czasie uregulować ostatecznie sprawę najdłuższego dnia roboczego. Do udziału w

tej pracy będą powołani przedstawiciele ministeryów, zakładów przemysłowych i wybitniejsi ekonomiści. Przedmiotem narad ma być długość dnia roboczego warunki życia robotników oraz unormowanie cen pracy.

— Na naradzie właścicieli piekarń i cechowych majstrów piekarskich, która się odbyła 4 lutego, uchwalono, że niepodobna zadość uczynić żądaniom czeladników bez podniesienia cen chleba i bułek, gdyż piekarnie warszawskie procentują bardzo mało. Obecnie czeladnik, pracując na dwie zmiany na dobę, zarabia od 40 do 60 rb. miesięcznie.

— W zarządzie miejskim poruszono obecnie projekt ubezpieczenia robotników, zatrudnionych w wodociągach, tramwajach, rzeźniach i innych licznych przedsiebiorstwach miejskich. Ogólna liczba tych oficyalistów. wynosi przeszło 5,000. Przedewszystkiem mają być ubezpieczeni pracownicy, którzy nie są uczestnikami kas wzajemnej pomocy.

— Akc. Tow. kapitalistów belgijskich otwiera w w Królestwie pierwszą fabrykę jedwabiu sztucznego. Dotąd podobna fabryka istniała tylko we Francyi, zatrudniając około 2,000 osób obojga płci.

— Władze właściwe uznały za niedogodną miejscowość na Kamionku, gdzie projektowano zbudować rzeźnię centralną, ze względu na konieczność nabycia kilkudziesięciu morgów gruntu, należącego do kilkudziesięciu właścicieli, co kosztowałoby około miliona rubli.

— Agenci handlowi ministeryum skarbu donoszą że mąka z młynów rosyjskich z powodzeniem zaczyna, zastępować zboże. Wskutek tego popyt na nią z każdym rokiem się zwiększa.

Poczta i telegrafy. Urząd telegraficzny w Berlinie pozwolił przyjmować telegramy adresowane do Królestwa Polskiego w języku polskim z zastrzeżeniem, aby osoby wysyłające unikały akcentów specyalnych nieobjętych alfabetem łacińskim.

— Z d. 18 z. m., posyłki wagi powyżej 12 funtów mają być opłacane: za pierwsze 12 funtów, jak obecnie, według stref, za każdy funt i część funta, powyżej 12 funtów według odległości od miasta gubernialnego w miejscowości, skąd posyłka jest wyprawiana, do miasta gubernialnego w miejscowości, do której jest przeznaczona według taksy, jaka obowiązywała do d. 14 lipca 1904 r. Przy przesyłce w obrębie jednej guberni za każdy funt powyżej 12 funtów w Rosyi europejskiej po 5 kop., z azyatyckiej po 10 kop. Waga posyłek wyprawianych z Rosyi europejskiej na Syberyę ograniczona zostaje do jednego puda, zamiast dawniejszych trzech.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu W. Hal. z Nowogrodu prosimy o wyraźne i mniej chaotyczne przedstawienie swych żądań. Jeśli Pan ma zamiar nabyć te książki, najlepiej zwrócić się do której z księgarń.

Płocczance. Takich wydawnictw u nas niema, ale można za pośrednictwem księgarni sprowadzić je z zagranicy. Będzie to jednak kosztowne.

Panu Wawrz. List odebraliśmy. Uwaga najzupełniej słuszna. Artykuliku w tej formie drukować nie możemy, ale sprawę podniesiemy w najbliższym czasie.

OFIARY.

Dla głodnych.

S. S. W. S. rb. 10.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 28 Января 1905 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.